ROK I. Nr. 44. 24 listopada 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE

GORĄCZKA ZŁOTA



Głośny pisarz Maurice Dekobra, którego sensacyjne wspomnienia z podróży po Indjach rozpoczniemy drukować od następnego numeru.

Co słychać na świecie?

W polityce, jak w systemie słonecznym, wszystko zawsze się kręci dokoła wspólnego środka. Tylko, że mniej stały od kosmosu, świat polityczny lubi zmieniać ośrodki swej grawitacji i zapalać sobie coraz to nowe słońca na widnokręgu. Takim punktem ciążenia politycznym jest obecnie problem „likwidajcji wojny" ze wszystkiemi jego skomplikowanemi etapami: planem Young'a, bankiem międzynarodowym, ewakuacją Nadrenji, plebiscytem w Niemczach, porozumieniem francusko-niemieckim, ułożeniem stosunków między Polską a Niemcami.

Przez długi czas rozważano sprawę terminu zwołania drugiej konferencji haskiej, na której mają być podpisane ostatecznie akty likwidacyjne. Niemcy ze zrozumiałych względów dążyły do jak najszybszego zwołania konferencji, śpieszno im bowiem do odzyskania trzeciej strefy ziem okupowanych. Z drugiej jednak strony te same Niemcy podały w wątpliwość realizację planu Young'a, umożliwiając p. Hugenbergowi jego projekt zwołania plebiscytu w tej materji. Zebranie konferencji przed plebiscytem niemieckim nie miałoby najmniejszego sensu, a w dodatku pozwoliłoby Niemcom wywierać na państwa sojusznicze nacisk w postaci groźby uchwal plebiscytowych. Rzecz prosta, Francja oparła się tym machinacjom, a ponieważ plebiscyt odbędzie się w końcu grudnia, drugą konferencję w Hadze postanowiono zwołać w początkach stycznia przyszłego roku.

Równocześnie zakończono w Baden Baden prace przygotowawcze do organizacji międzynarodowego banku reparacyjnego. Ułożono statut, określono zakres czynności Banku, dokonano podziału ról, a wreszcie zgodzono się na miejsce siedziby Banku, co stanowiło dotąd największą i najdrażliwszą trudność.

Gdyby wybór miejsca miał zależeć od zakresu interesów, wybór ten powinienby paść na Paryż, ale sprzeciwiła się temu Anglja. Skoro Paryż nie mógł być siedzibą Banku, nie mógł być i Londyn, a skoro nie mógł być Londyn, nie mogła być i Bruksela i wogóle którakolwiek ze stolic państw zainteresowanych. Zgodzono się zatem na Szwajcarję, która powoli zaczyna się stawać terenem naprawdę neutralnym w Europie, bo jedynym przeciw któremu, gdy chodzi o instalację instytucji międzynarodowych, nikt nie zanosi sprzeciwu.

W mowie p. Hoovera, którą wygłosił na święcie Legjonu Amerykańskiego z okazji jedenastej rocznicy zawarcia rozejmu, największą uwagę zwrócił ustęp, poświęcony kwestji wolności mórz, kwestji najbardziej drażliwej jaką sobie można wyobrazić dla Anglji. Prezydent St. Zjednoczonych uprościł sobie bardzo problem, uważając, iż chodzi właściwie o swobodę handlu na morzach w czasie wojny. W szczególności wystąpił przeciw zakusom dowożenia żywności głodującym krajom: minęły te czasy, wołał z zapałem, kiedy wygładzanie kobiet i dzieci uważano za słuszny i godziwy środek wojenny. Uczucia te i myśli zaszczyt przynoszą humanitarnej duszy p. Hoovera, który zdobył już sobie trwały tytuł do wdzięczności narodów na tem polu. Ale czy takie ujęcie kwestji, szlachetne, ani słowa, nie obróciłoby się przypadkiem przeciw zasadniczemu celowi, do którego dąży p. Hoover wraz z całą ludzkością: utrwaleniu podstaw powszechnego pokoju? Czy nie trudno wyobrazić sobie, iż pewność, że ludność cywilna, kobiety i dzieci, nie zostaną pozbawione środków aprowizacyjnych, będzie raczej zachętą i ułatwieniem wojny dla państwa, które obmyśla zbrodniczą napaść, aniżeli wędzidłem i hamulcem? Nawet Anglja, której, zdawałoby się, powinno w pierwszej mierze zależeć na swobodzie aprowizacji, uważa środek proponowany przez p. Hoovera za zbyt ryzykowny i już dziś odzywają się głosy, że cały problem wolności mórz nie powinien być przedmiotem dyskusji na przyszłej konferencji morskiej w Londynie.

Dochodzą nas takie wieści z za oceanu, dochodzą i inne, godne najzupełniej uwagi polityka dzisiejszych czasów, a szczególnie miłe sercu Polaka. Polscy kawalerzyści odnieśli wspaniałe zwycięstwo na konkursach hippicznych w nowojorskim Madison Square Garden, zdobywając po raz trzeci główną nagrodę konkursów, Puhar Narodów, który wbrew nazwie jest sobie zwykłą tacą, a który ty razem pozostanie już na zawsze w Polsce. Ten triumf polskich jeźdźców wywołał niesłychany entuzjazm w Ameryce, czułej na wszelakiej natury wyczyny sportowe. Polacy słusznie są uważani za najlepszych kawalerzystów świata, tem więcej, że materjał koński, którym rozporządzają, ustępuje innym współzawodnikom.

Wracając do spraw europejskich wypada nam jeszcze zatrzymać przez chwilę uwagę na Austrji. Maleńka republika naddunajska przeżywała w ostatnich czasach wstrząsy zewnętrzne, grożące wyraźnie wojną domową, której skutki musiałyby się odbić znacznie poza granicami kraju. Chodziło o projekt reformy konstytucji, a w projekcie — o stanowisko Wiednia. Przy dzisiejszym ustroju republiki Austrjackiej, Wiedeń posiada zupełną niezależność gospodarczą, a poza tem, dzięki skupieniu wszystkich władz w jednych rękach, w rękach socjalistów, jest całkowicie niemal wolny od wszelkiej kontroli państwowej. Z drugiej strony — rzecz zupełnie zrozumiała— Wiedeń dąży do supremacji nad innemi czynnikami w Państwie, ma bowiem do tego najwięcej danych, ale stąd właśnie wzięły początek ostre rozdźwięki między stołeczną twierdzą socjalizmu, a narodowo nastrojonemi krajami związkowemi. Obecny projekt reformy konstytucji zmierzał do usunięcia sprzeczności i poddania stolicy interesom państwa, ale też rozpętał zaciętą walkę między dwoma obozami. Walka ta przybrała takie rozmiary, iż rząd p. Schobera zrozumiał konieczność ustępstw na tym punkcie i Wiedeń prawdopodobnie pozostanie przy większości swych dawnych praw. Reforma konstytucji doznała uszczuplenia, ale pokój wewnętrzny zostanie salwowany.

Ostatnie telegramy przyniosły wiadomość, że po krwawej walce na stolcu prezydenta Meksyku zasiadł Ortiz Rubio.

Dr. J. G.



W ubiegłą niedzielę odbył się w Warszawie staraniem Ligi Przyjaciół Zwierząt „Dzień dobroci", Ilustracja nasza przedstawia fragment pochodu w Alejach Ujazdowskich, (fot. Światowid).

Na konferencji morskiej w Londynie przedstawiciel Japonji Reijiro Wakatsuki będzie miał niełatwe zadanie, jako że Anglji zwłaszcza chodzi o ograniczenie zbrojeń morskich Japonji.



Donoszą z Paryża, iż ministrem pełnomocnym i posłem nadzwyczajnym Peru przy rządzie Rzplitej Francuskiej został mianowany Mariano Cornejo.



Monarchę egipskiego, w imieniu którego przybył do Warszawy poseł Hassan Nachad Pasza, znamy z licznych ilustracji z czasu pobytu jego w Europie. Fotografja nasza przedstawia nast. tronu ks. Zarouka.



W dniu 13 b. m. nowomianowany poseł egipski, Hassan Nachad Pasza, akredytowany przy rządzie Rzeszy Niemieckiej i w Czechosłowacji z siedzibą w Berlinie, wręczył listy uwierzytelniające Panu Prezydentowi Rzplitej.

W dniu 12 b. m. odbył się w Warszawie ślub p. Wacława Zyndram Kościałkowskiego, sekr. osob. p Ministra Spr. Zagranicznych z p Alicją Prus Wiśniewską



Nowomianowany poseł litewski przy rządzie Rzplitej Francuskiej, Petras Klimas przybył do Paryża.



W Moskwie zmuszają dzieci do brania udziału w pochodach manifestujących régime nienawiści i krwawego terroru.



Zasłużony prezes Związku przemysłu włókienniczego ś. p. Marceli Barciński zginął wskutek wypadku automobilowego.



„Palestyna dla Arabów" i „Ojczyzna ponad wszystko, a wolność naszem Życiem" — oto hasła wypisane na sztandarach Arabów, którzy manifestowali przeciw deklaracji Balfour'a i obcym imigrantom w całej Palestynie.



Na Wschodzie bez zmian... W wyniku krwawych zamieszek, które ustawicznie niepokoją Palestynę i Syrję, został zamordowany emir Transjordanji, Abdullah.



Minister Rzplitej przy rządzie Respubliki Sowieckiej, p. Patek, wyjechał do Moskwy. Odprowadzali go na dworzec pp.: naczelnik wydziału Hołówko, poseł sowiecki w Warszawie, Bogomołow oraz liczni urzędnicy M. S. Z.



Jednym z licznych objawów kultu Anglików dla starych tradycyj jest pochód uroczysty w historycznych strojach, który defiluje odprowadzając nowego Burmistrza Londynu do jego rezydencji



Niezwykły wyczyn sportowy. Znana mistrzyni pływactwa, Lotti Moore Schoemmel pływała w ciągu 2 godz. 18 min., mając skute ręce i nogi.



Prasa światowa zajmowała się ostatnio sprawą wizyty rodaczki naszej, p. Curie-Skłodowskiej w Ameryce, gdzie była gorąco podejmowana przez naród z prezydentem Hooverem na czele.

M. B. LEPECKI.

AMAZONKA, CZYLI RZEKA-MORZE

Wybrzeża Amazonki budziły we mnie zachwyt tylko przez krótki czas. Już po kilku dniach opatrzyły mi się. Płaskie, pokryte jednolitą, zieloną dżunglą, wydają się wykrajane z jednego kawałka dekoracji teatralnej, takie są zgruba rysowane i monotonne. Gdy nadomiar złego dodać, że wody Amazonki posiadają brzydką, brudno-żółtą barwę, a niebo nad nią pokrywają przez dużą część roku chmury, to wówczas już nikogo nie zadziwi twierdzenie, że podróż statkiem po największej rzece świata nie należy do czarujących, a już zupełnie nie można jej porównać z urokiem podróży po wodach Paragwaju, lub Alto Parany. Jednak gdy wczujemy się w jej ogrom, gdy uprzytomnimy sobie, że jest to zbiornik wód olbrzymiego kontynentu, rozciągającego się po obu stronach równika na przestrzeni kilkudziesięciu stopni geograficznych, gdy uświadomimy sobie, że jest to rzeka, po której żeglują wielkie statki oceaniczne, że długość jej przekracza sześć tysięcy kilometrów, że w ciągu każdej sekundy czasu wtłacza ona do Atlantyku osiemdziesiąt tysięcy metrów sześciennych wody, tworząc owe dziwne Mar Doce — Słodkie Morze, to dopiero wówczas uczujemy mocny dreszcz zadowolenia z losu, który pozwolił nam zobaczyć ten cudowny twór natury w całej swojej okazałości.

Cała Amazonka pokryta jest setkami większych i mniejszych wysp i wysepek. Jedne z nich są zamieszkałe, inne służą za schronienie ludziom i zwierzynie jedynie w czasie pory suchej, jeszcze inne stoją od stworzenia świata puste. Ten wielki ich nadmiar sprawia, że żeglując po tej olbrzymiej rzece nietylko nie jest się wcale przygnieciony jej ogromem, ale nawet uczuwa się pewnego rodzaju zawód. Pokryta wyspami, podzielona tysiącami wąskich kanałów, nie przedstawia Amazonka tego ogromu, jaki masa jej wód, wtłoczona w koryto jednolite, mogłaby przedstawiać. Dla nieświadomego, biorącego brzegi wysp za brzegi rzeki, mogłoby się nawet wydawać, że jest ona rzeką niezbyt szeroką. Ogrom jej uwydatnia się dopiero wówczas, gdy nadchodzą olbrzymie powodzie, te prawdziwe potopy biblijne. Znakomita część wysp ginie wówczas w odmętach, a ląd tworzy ową bajeczną, przez Jules Verne'a genjalnie opisaną „puszczę wodną". Wtedy dopiero człowiek odczuwa niezmierną potęgę żywiołu płynnego i największego jego zbiornika lądowego — Amazonki. Nic nie ostoi się przed jej potęgą. Olbrzymie pnie drzew, dotknięte ramieniem wody, padają niczem drobne krzaki, a budowle ludzkie, zuchwale postawione na terenie jej zasięgu, nie potrafią stawić oporu nawet sekundy.

Rzeka—Morze niszczy, ale jednocześnie i buduje. Wyrwane z korzeniami pnie drzew, ziemia z osypisk nadbrzeżnych, muł, rośliny wodne, wszystko to służy skrzętnej rzece do budowy nowych wysp i do wydzierania oceanowi nowych szmatów ziemi.

Nierównomierne jej powodzie, raz wielkie, raz mniejsze, sprawiają nadbrzeżnym mieszkańcom wiele niespodzianek i wiele szkód. Ale Amazonka nie jest złośliwa, ani niewdzięczna. Nie niszczy bezmyślnie pracy ludzkiej, a szkody dokonane aż nadto wynagradza swą bezprzykładną przydatnością do żeglugi. Dość wspomnieć, że jeszcze miasto Iquitos, położone o 4.200 kilometrów od ujścia, jest portem morskim, posiadającym bezpośrednie połączenie z portami Europy i całego świata, aby uznanie dla niej wzmogło się do granic podziwu. Nietylko jednak świetną drogą wodną jest Amazonka, jest ona także olbrzymiem akwarjum, w którem uczeni naturaliści znaleźli już około 10 tysięcy gatunków ryb. Rozmaitość ich i ilość może przyprawić człowieka, przywykłego do stawików i rzeczek europejskich, o nielada zawrót głowy.

Ta wielka obfitość przeróżnych stworzeń wodnych ma jednak i swoją odrębną stronę medalu: w Amazonce nie można się kąpać. W czasie pobytu w Manaos miałem sposobność przekonać się o niebezpieczeństwach, ukrytych w wodach tej groźnej rzeki. Prawie na moich oczach rozegrała się taka tragedja: jeden z robotników, zatrudnionych przy ładowaniu okrętu, pośliznął się na wąskiej kładce i wpadł do wody. Zanim zdążono rzucić mu koło ratunkowe i zanim zdążył wydać okrzyk przerażenia, zakotłowało się wokoło i człowiek znikł momentalnie w głębinach, pociągnięty nienasyconemi mordami potworów. Tylko tłusta, ruda plama na powierzchni wody świadczyła jeszcze przez krótką chwilę o tragedji, która rozegrała się w atramentowych wodach olbrzymiej rzeki.

Brzegi Amazonki, wyniesione znacznie nad poziom wód i nie podlegające zalewom nawet podczas największych przyborów, są określone słowami *terra firme*. Brzegi niskie, zalewne, nazywają mieszkańcy *vargem*. Na *vargem* rośnie zwykle las niskopienny, krzaki i zarośla; nie widzi się tam zupełnie drzew wielkich, pokrywających szczelnie *terra firme*. Mieszkańcy Amazonji, zmuszeni do przebywania na *vargem*, budują chaty na wysokich palach, chroniąc w ten sposób swoje ogniska domowe od powodzi. Posiadają oni zawsze łodzie, aby, w wypadku gdy przybór przybierze rozmiary niespodziewanie duże, móc uciec na tereny wyższe, położone dalej od rzeki.

Jak niebezpieczne muszą być nagłe powodzie Amazonki stwierdza to, że nigdy u jej brzegów nie przywiązuje się łodzi na noc na krótkim sznurze, gdyż w przeciągu kilku godzin snu poziom wody może podnieść się tak wysoko, że łódź zatonie, lub też, porwana przez fale, popłynie wdół rzeki samopas.

Do dziwów, przejmujących lękiem pierwotną ludność tubylczą i niemniej pierwotnych konkwistadorów, należy pozornie niewytłomaczony objaw przypływów. Pod koniec pory suchej, gdy prawobrzeżne dopływy toczą już resztki swych nieprzebranych zapasów wód, lewobrzeżne zaczynają nagle wzbierać, tocząc nowe dla Amazonki soki. I oto stajemy się wówczas świadkami dziwnego zjawiska: prawy brzeg jest suchy, jego drobne strumienie i jeziorka nie posiadają ani kropli wody, podczas gdy w tym samym czasie na lewym brzegu każda najdrobniejsza arterja wypełniona jest po zręby płynnym żywiołem. Niema w tem oczywiście nic cudownego. Okres deszczów idzie ku Amazonce od północy, to też najpierw napełniają się jej lewobrzeżne dopływy, a dopiero później, stopniowo, gdy okres deszczów przekroczy koryto Rzeki—Morza, zaczynają wzbierać dopływy prawobrzeżne.

Podczas całej podróży po Amazonce, a później i po Ucayali, widywałem niejednokrotnie dziwnych mieszkańców wód, ni to ryby, ni to ssaki. Były to brzegowce amerykańskie: *botu i peixe-boi*. Pierwsze z tych zwierząt jest rodzajem delfina (Inia amazonica albo Delphinus amazonicus), drugie, znane w Polsce pod nazwą krów rzecznych (Manatus amazonicus), podobne jest nieco do foki. Mięso z botu, jak również i jego skóra nie posiadają własności, które mogłyby spowodować ich użyteczność dla człowieka. Ostatnio odbywają się próby wydobywania z nich tłuszczu, któryby mógł być użyty na wyrób mydła, lub dla innych przemysłowych celów. Peixe-boi posiada mięso jadalne i zapewne dlatego liczba ich zmniejszyła się w ostatnich czasach znakomicie. Portugalska, a właściwie brazylijska nazwa krowy rzecznej (peixe-boi czyli rybabyk) powstała niewątpliwie wskutek tego, że zwierzę to karmi się pewnym gatunkiem trawy, pospolitym na brzegach rzek Amazonji, która stanowi też wielki przysmak bydła rogatego. Trawa ta zwie się *capim*. Zarówno na *botu*, jak i na *peixe-boi* poluje się z harpunem. Mieszkańcy nadbrzeżni, a w szczególności Indjanie, celują w tych polowaniach i z wielką łatwością zdobywają ten wielki łup. W późniejszej podróży miałem sposobność widzieć, jak ci niezrównani myśliwcy, ugodziwszy potężne zwierzę, mknęli, ciągnieni przez nie, w maleńkiej, chybotliwej łódeczce po gładkich, lecz zdradliwych wodach Matki Rzek. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego nie tracili równowagi, nie wypuszczali z ręki sznura i nie wpadali do wody.

Oprócz botu, którego każdy podróżnik po Amazonce musi zauważyć, wciąż rzuca się w oczy wielki ptak o rudawych skrzydłach, zwany cigana, oraz kilka gatunków mew, zwanych gajwotami. Naogół jednak Europejczyk spodziewa się spotkać znacznie więcej przedstawicieli świata zwierzęcego, ptasiego i rybiego, aniżeli spotyka. Przed oczami człowieka, jadącego parowcem, rozciąga się widok olbrzymiej, wiecznie zielonej, leśnej pustyni. Nic, nic, oprócz roślinności nie widać na brzegach Amazonki. Jedynie w bardzo wczesnych godzinach rannych i przed samym wieczorem można dostrzec przelatujące wysoko czaple, papugi, lub krążące nad niewidzialnem padłem wielkie, nieme sępy (Catharista atrata). Dopiero w czasie pory suchej (maj—wrzesień) brzegi ożywiają się. Liczne plaże piaszczyste, które znikają w porze deszczowej, pokrywają się nieprzeliczonemi stadami olbrzymich żółwi i krokodyli. Mnóstwo ptaków, które w porze dżdżystej przenoszą się nad brzegi licznych w głębi kraju jeziorek, powracają nad Amazonkę i ożywiają krajobraz. Wówczas to podróż jest znacznie ciekawsza i bardziej interesująca. Niestety, dolną Amazonkę przebywałem podczas dużej pory deszczowej i przeto na jej brzegach nie widziałem prawie nic więcej, oprócz olbrzymiej, milczącej, zielonej pustyni.

KONKURS NA „NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE"

WARUNKI GŁOSOWANIA NA NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE.

1) Udział w głosowaniu biorą rodzice oraz wszyscy bez wyjątku czytelnicy „7 Dni".

2) Głosować należy na dzieci, których fotografje, wybrane i dopuszczone przez sąd konkursowy, były zamieszczone w Nr. Nr. 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40 i 41 „7 Dni".

3) Głosowanie trwa od dnia 10 listopada, do dnia 15 stycznia 1930 r. na podstawie specjalnego kuponu, który będzie zamieszczony w każdym numerze „7 Dni", począwszy od 10 listopada do 15 stycznia włącznie.

4) Każdy kupon liczy się jako 1 głos. Każdy głosujący może nadsyłać dowolną ilość kuponów.

5) Nadesłane kupony będą segregowane według ilości głosów, przypadających na dane dziecko.

6) Po zamknięciu głosowania, dziecko posiadające największą ilość głosów uzyska tytuł „Najpiękniejszego Dziecka Polskiego", rodzice zaś lub opiekunowie otrzymają przysługujące im nagrody.

PREMJE DLA CZYTELNIKÓW „7 DNI".

Każdy Czytelnik „7 Dni", biorący udział w głosowaniu, może otrzymać premję. Przyznanie premji odbędzie się drogą losowania z pośród wszystkich bez wyjątku nadesłanych kuponów.

REGULAMIN ROZWIĄZANIA KONKURSU I LOSOWANIA.

1) Termin nadsyłania kuponów upływa w dniu 15 stycznia 1930 r. o godz. 24-ej. O ważności nadsyłanych kuponów decyduje data stempla pocztowego.

UWAGA. Celem ułatwienia manipulacji biurowej Czytelnicy proszeni są o zaznaczanie na kopercie, iż przesyłka odnosi się do konkursu „Najpiękniejsze Dziecko Polskie".

2) Zestawienie wyników głosowania, przyznania nagród i rozlosowania premji odbędzie się publicznie w obecności Czytelników i zaproszonych gości oraz pod kontrolą notarjusza i przedstawiciela P. K. O., w której to instytucji została zdeponowana kwota 10.000 zł.

3) O dniu, godzinie i miejscu rozdania nagród i losowania nastąpi zawiadomienie w odpowiednim czasie.

MASZYNA — A RĘCE



Belgja słynie z koronkarstwa. Wyroby te, będące dziełem cierpliwych rąk mieszkanek Bruges, Gand, Malines—budzą ogólny podziw i bezwzględnie przewyższają koronki maszynowe.





Specjalnością Persji są piękne dywany, którym nie dorównywują żadne wyroby fabryczne. Na ilustracji widzimy małych uczniów przy warsztacie (u góry). Wykańczanie witrażu jest również rękodziełem (u dołu).

Zwycięski pochód maszyny — potwora, zrodzonego z inteligencji i potrzeby — znany jest dobrze.

Niema chyba dziedziny, gdzieby ręce człowieka nie czuły dziś druzgocącej przewagi groźnego przeciwnika.

I nie tylko — ręce...

Maszyna dziś — „wytwarza pogodę", „wskrzesza topielców", uczy nas pisać i chodzić, śpiewa i gra.

Zawrotne tempo życia otwiera wciąż nowe i nowe możliwości, gdzie genjusz ludzki zmusza walczyć o lepsze — precyzyjnej wnikliwości i ekscentryczności pomysłu.

W sąsiadującej z nami Rosji istnieją całe połacie kraju, uprawiające gremjalnie ten czy inny rodzaj rękodzieła.

Znane tam są np. zabawki „kudriasnich kustarej", oparte na wzorach sztuki ludowej i artystycznie zdobionych.

To samo da się powiedzieć o głośnej rosyjskiej „ikonopisi" (malarstwo obrazów św.) o ręcznych warsztatach tkackich, pracujących masowo w okolicach Moskwy, o słynnych kaukaskich wyrobach broni, o szlifierstwie uralskich kamieni i t. p.

U nas w Polsce lubiane i znane są wyroby kilimów i batików, garncarstwo, ceramika ręczna i zabawki, stanowiące poważny dział eksportowy.

Stworzenie „Robota" — zmechanizowanego człowieka, stało się w dobie dzisiejszej jaskrawym wyrazem postępu.

Jest to już „dzieło", stojące na rubieży Wilde'oskiego paradoksu.

A jednak?...

Czy wspaniały rozwój maszyny oznacza zupełną porażkę rąk ludzkich?

Bynajmniej.

Ręce ludzkie nie przestają pracować. Wystarczy powiedzieć, że całe dziedziny przemysłu, jak zabawkarstwo, garncarstwo, wyroby kilimów i batików, koronkarstwo i t. p. pozostają wciąż w sferze rękodzielnictwa, zatrudniając dziesiątki i setki tysięcy ludzi na całym obszarze świata.

Należy tedy sądzić, że nieuchwytna logika rzeczy, subtelna i przedziwna tolerancja życiowa stworzą warunki, przy których wspaniały rozwój maszyny nie przeszkodzi rękom człowieka nadal pracować — wytrwale, wydajnie i mądrze. *J.*





Domorosły artysta hinduski sprzedaje kunsztowny domek, wypieczony z gliny na ulicy Benarés (u góry). Hafciarki genewskie pracują nawet na ulicy (z lewej strony).

BRUNO WINAWER.

Trzecia dama karo

Niedziela. Pewna miła starsza pani rozłożyła w jadalni na stoliku plikę pism zagranicznych, trzyma groźnie ołówek, marszczy brwi i rozwiązuje krzyżówki. „Bogini nienawiści w dawnej Grecji"? „Cztery litery"? „Plac w dawnym Rzymie"? „r w środku"? Dopływ Renu? Gwiazdozbiór?

W salonie grono młodzieży płci rozmaitej gra w bridge'a. Gdzie jest dama karo? Co chwila wybucha głośniejszy spór i partner dowodzi logicznie partnerowi:

— Jeżeli ja *zrzucam się* z „bezatu" i przechodzę na kolor, to znaczy, że mam *wice-renons* w trefle! Wiekowe doświadczenie uczy: nie masz mocnego *zatrzymania* w kolorze przeciwnika, nie pchaj się na *trzy*, bo cię obłożą...

Tego samego popołudnia we wszystkich prawie domach wielkiego miasta siedzą przy stołach różne czwórki, piątki, siedzą ludzie łysi, brodaci, kobiety, młodzieńcy, starcy, dzieci, panny, rozwódki, dygnitarze, aplikanci sądowi, finansiści, komornicy, rejenci, kupcy, aktorzy, publicyści i głowią się nad zagadnieniem: po której stronie jest trzecia dama i czy można wyjść z pod asa?

Chciałbym, żeby mi ktoś wytłumaczył rozsądnie, o co tu właściwie chodzi. Przez trzy lata byłem asystentem na politechnice, pokazywałem studentom w pracowni przyrządy wielkiego Faradaya, mówiłem im o problematach, które dręczyły genjalnego Newtona, o pierścieniach świetlnych i widmach gazów szlachetnych... Młodzieńcy mieli miny trochę znużone, „odwalali" zadania prędko, bez entuzjazmu.

Dlaczego w niedzielę siedzą kamieniem przy zielonym stole i namarszczywszy brwi myślą aż do utraty przytomności, jak wyłuskać czwartego waleta? jak zrzucić dwa niepotrzebne piki i nadrobić trzy lewy?

Dlaczego sztubak Kalesoński ziewa od ucha do ucha na wykładzie o Aleksandrze Macedońskim, dlaczego nudzą go czyny historyczne głośnych wodzów, faraonów, cezarów, królów i dlaczego ten sam Kalesoński w sobotę po obiedzie patrzy, jak sroka w gnat, wybałuszając oczy, na drewnianego króla, którego przenosi z jednego pola szachownicy na drugie jego kolega i partner, Gatkiewicz?

Dlaczego miła starsza pani nie interesowała się gwiazdozbiorami i dopływami Renu za lat szkolnych i teraz dopiero, w niedzielę, szpera po encyklopedjach, wertuje podręczniki, ogląda mapy, bo brak jej jednego wyrazu w krzyżówce?

Dlaczego znany w szerokich kołach Kocio Pobrykalski nie obrazi się, kiedy mu kto powie znienacka:

— Pan szanowny nie ma zielonego pojęcia o kosmografji. Pan dziś jeszcze — po czterech wiekach — nie rozumie teorji Kopernika, nie wie, jaka pora roku jest teraz w Argentynie i czemu latem dzień jest dłuższy, a zimą krótszy.

I dlaczego ten sam Kocio Pobrykalski zarumieni się, zaperzy, żachnie i obruszy na skromną uwagę:

— Kociu, zmarnowałeś „szlema". Gdybyś „impasował" pod asa, tobyś rozegrał trefle, potem piki. Kociu, jesteś fuszer i nie masz pojęcia o bridge'u. Grasz, jak noga.

Na brodę Mahometa — co tkwi w tem wszystkiem? Czyżby trzecia dama karo była doprawdy ciekawszem zagadnieniem od wszystkich — razem wziętych — problematów wiecznych? Czyżby przypadkowy „renons treflowy" był bardziej zajmujący od poglądów genjalnego Jeansa na granice wszechświata, drugi walet pik ciekawszy od teoryj einsteinowskich, fakt, że ktoś ma gołego króla za ręką, bardziej zdumiewający od wszystkich odkryć biologicznych, chemicznych, od śniegów polarnych na Marsie, promieni kosmicznych, fal elektro-magnetycznych, pomiarów szybkości światła, badań geologicznych?

Czyżby prace Wegenera nad pływającemi kontynentami, zorze północne, plamy na słońcu, gwiazdy podwójne, wybuchy wulkanów, mgławice, komety, elektrony, pierwiastki promieniujące były niczem w zestawieniu z wielką „koroną asową" — czyżby nie miały siły fascynującej i mniej uskrzydlały wyobraźnię, niż „wsypa bez dwóch, po dogranej, z kontrolą"?

Mojem zdaniem — popełniliśmy jakiś błąd fatalny i coś tam się pokiełbasiło okropnie w naszych metodach nauczania. Belfer opowiada o losach człowieka na ziemi, o światach błędnych, o gwiazdach nowych, o czerwonych plamach na Jowiszu — a jego słuchacze myślą o niebieskich migdałach. Jednocześnie zaś całe grona znudzonych pań zapraszają na seans „nauczyciela bridge'owego", chwytają łapczywie każde słowo, tasują karty i godzinami myślą: w co wyjść? w dziesiątkę karo, czy w króla pik? Powiedzieć trzy bez-atu i dograć czy nadrobić i zapisać czterysta punktów nad kreską?

I — kto wie — może należałoby odwrócić kota ogonem. Wprowadzić do programów szkolnych bridge'a, szachy, warcaby, klipę, belotkę, rebusy i szarady, stawiać pały za złą rozrywkę i czwórki z plusem za prawidłową licytację.

Wtedy Kocio Pobrykalski, starsza pani, rejent, major, aplikant, komornik, kolega Kalesoński i kolega Gatkiewicz siedzieliby w niedzielę po obiedzie nad czasopismami naukowemi...

— Słyszał pan — rzekłby Kocio — promień świetlny przelatuje trzysta tysięcy kilometrów na sekundę, a jednak biegnie ku nam lata całe od gwiazd najbliższych? Odkryto pola magnetyczne na słońcu... elektron jest podobną falą w eterze... Schrödlinger zastanawia się nad kwestją, czy istnieją wogóle prawa w przyrodzie, czy też to tylko nasz — ludzki — wymysł...

Zagadnienia naukowe entuzjazmowałyby bridge'ystów, szachistów, lekkich atletów... Na wspomnienie trzeciej damy karo ludzie ziewaliby od ucha do ucha.

Niestety, nie zanosi się jakoś na taką reformę szkolną.

Z teki Jotesa

(Zjazd b. organizacyj bojowych).



Minister Patek.



Gen. Bończa.



Pos. Arciszewski.



Czarkowski.

OCHRONA GORYLÓW

W 1924 r. pierwszy preparator nowojorskiego Muzeum historji naturalnej, znany podróżnik i myśliwy, Carl Z. Ackeley, powróciwszy z wyprawy wgłąb Afryki, w okolice jeziora Kiwu, celem zdobycia dla wspomnianego muzeum okazu goryla górskiego, zwrócił uwagę władz belgijskich, gdyż zakątek ten Afryki stanowi część Konga belgijskiego, że odmiana ta największej małpy człekokształtnej jest już bliska zupełnego wytępienia, tak, jak goryle nizinne, zamieszkujące Afrykę zachodnią, zwłaszcza puszczę dorzecza Ogowe, radzi więc zarządzenie ochrony tych rzadkich już dziś zwierząt.

Dowiedziawszy się o tem, król Albert belgijski, podchwycił skwapliwie myśl, rzuconą przez przyrodnika amerykańskiego i poparł ją gorąco u belgijskich władz kolonjalnych, które niezwłocznie zwróciły się do Ackeleya z prośbą o podanie bliższych szczegółów swego planu.

W ten sposób powstał na lądzie afrykańskim, na północ od jeziora Kiwu, w ojczyźnie goryla górskiego, nowy park przyrody (inny park taki znajduje sięna terytorjum Natalu, w Afryce Południowej). Nowy ten park przyrody jest niewątpliwie jednym z najmajestatyczniejszych na świecie, gdyż obejmuje grupę potężnych szczytów wulkanicznych, znanych pod nazwą ogólną gór Kirunga, a to od nazwy dwu najbardziej na Zachód wysuniętych: Kirunga-cza-gongo i Kirunganamlagira, wprawdzie nie najwyższych w tej grupie, ale będących wulkanami czynnemi, a że to, co żywe, więcej interesuje, niż rzeczy zamarłe, nie dziw zatem, że ten imponujący węzeł górski otrzymał nazwę wulkanów żywych.

„Parc National Albert" — jak ochrzczono urzędownie ten nowy Eden fauny i flory afrykańskiej, gdyż nietylko wzbronione jest w jego granicach polowanie, ale także drzewostan jego ma pozostać nienaruszony, obejmuje przestrzeń zgórą 400 kilom. kwadr., ponieważ zaś leży na wysokości około 1,500 m. nad powierzchnią morza, posiada więc klimat zdrowy, a roślinność — tak stref umiarkowanych, jak i górskich. Najwyższe jego szczyty są nawet przez pewną część roku pokryte śniegiem, choć znajduje się tuż pod równikiem.

W tym to zakątku goryle będą mogły teraz żyć w zupełnym spokoju i w bezpieczeństwie, nie molestowane przez nikogo, na co zresztą zasługują, pomimo bowiem potwornego swego wyglądu i olbrzymiej siły, unikają człowieka, a napadają tylko, zaskoczone znienacka lub ranione. Świadczą o tem zgodnie opowiadania wszystkich podróżników i przyrodników, zasługujących na wiarę. Straszną reputację swoją zawdzięcza goryl głównie sensacyjnym opisom głośnego podróżnika francuskiego, Du Chaillus, pełnych fantazji prawdziwie gallijskich. Zachęcony jednak temi opisami awanturniczemi, wybitny podróżnik angielski, odkrywca źródeł Nigon, William W. Reade, udawszy się do Afryki, przekonał się osobiście, jak przesadne są opisy Du Chaillus, a nawet twierdzi, że ten samochwał nigdy w swem życiu goryla nie upolował.

Co się tyczy goryla górskiego, to ze względu na to, że pierwszy upolował i opisał go w 1902 r., wówczas porucznik niemieckiej armji kolonjalnej, von Beringe, goryl ten otrzymał nazwę naukową *Gorilla Beringei*. I ten goryl, jak krewniak jego nizinny, posiada kształty potworne i tak, jak on, jest zwierzęciem roślinożernem, żywiąc się przeważnie — jak opowiada von Beringe — młodemi pędami pewnego gatunku bambusa, porastającego obficie zbocza gór swej ojczyzny.

Upolowany przez porucznika von Beringa goryl, mierzył półtora metra wysokości i ważył sto kilogramów. Nie jest to jednak największy z upolowanych okazów tej małpy człekokształtnej, goryl bowiem, zabity w 1875 r. w Kamerunie przez innego podróżnika niemieckiego, H. von Koppenfelsa, ważył około 200 kilogr. i mierzył 1.90 m. wysokości.

S. B.

MAX WIT

Strach

— Panie Poruczniku, ile mamy armat, zdatnych do użytku z tych zdobycznych Paszkowa i Geismara?

— Sześć, generale — warknął służbowo młody Łagowski — mogę je oporządzić w ciągu trzech dni i wyszykować do boju, jeśli otrzymam przynajmniej 80 koni i dwudziestu ludzi.

Dwernicki z uśmiechem popatrzył na młodego zucha i dodał surowo:

— Dobrze, otrzyma pan ludzi, lecz konie są w Seroczynie.

— Rozkaz, Generale — salutował Łagowski — w ciągu trzech dni oporządzę baterję bojową.

— W ciągu pięciu — poprawił Dwernicki. — Żegnam Pana i życzę powodzenia.

Łagowski w podskokach wybiegł z chałupy, a pochwyciwszy starego ogniomistrza, Rembowskiego, trzepał swoim zwyczajem:

— Rembosiu, jedziemy do Seroczyna. Bij dach, stary sumie przed Panem Porucznikiem Łagowskim, komendantem zdobycznej baterji!

— Winszuję — prężył się Rembowski — ale też mi zaszczyt, gdzie ludzie? gdzie konie? Djabli pana nadali, Dwernicki ponoć ruszy teraz przeciw Kreutzowi, za Wisłę, a my co?!

— A no, nic, oporządzimy bateryjkę, jak się patrzy i jeszcze zadamy Moskalikom bobu. Zresztą rozkaz i basta. Wybierz ludzi: dwunastu zostaw przy armatach, a ośmiu zabieram do Seroczyna, mamy pięć dni czasu, ruszaj się więc co żywo.

— Rozkaz!

— Postrzeleniec — mruczał Rembowski — zupełny ojciec, zupełny, taki sam narwaniec, jak i tamten — skarżył się kapralowi, Osice, gdy odkomenderowywali kanonjerów do nowej baterji. — Bo też dzisiaj, jakże on się sprawował: skoczył za młynarzami, wdarł się między nich, smarkacz zatracony, że mu niby moskiewskie armaty potrzebne, i było gorąco przy tych baterjach... Ułany, jak ułany, wciąż przed siebie, postrzeleńce, a on im dopiero przypala: „Hej! Chłopcy, za mną! Wydrapiemy te pukawki"! i jak ci rąbnie tym swoim ojcowskim tasakiem kanonjera, że tylko psubrat jęknął i trzasnął resztką łba brudnego o lawetę, młynarzom — w to mi graj, uwijały się ścierwa i skakały przez jaszcze, jakby ich pchły unosiły, anim się, mówię, nie spostrzegł, jak ten smarkacz, Łagowski, cały we krwi, czysty rzeźnik, pytluje od rzeczy: „Ano, Rembosiu, mamy harmatki, stary sumie. Pocciwe ułany „młynarze", bo młynarze, ale chwackie zuchy, a teraz przodkuj, chłopie, przodkuj i konie sprowadzaj"!

Osika słuchał z uśmiechem i kiwając głową, powtarzał:

— Takoż i ojciec, takoż, taka widać krew zacięta — boć to w maćku taka dusza, choć zabiją, wciąż się rusza...

— Pamiętam ci ja, w dziewiątym roku Pan Prefekt Płocki, Rembiński wezwał kapitana drugiego pułku kawalerji Łagowskiego, co kurował się w Płocku z otrzymanych ran, aby na czele gwardji narodowej odebrał Kajzerlikom Tokarówkę, onę wysepkę na Wiśle. Chociaż kapitan jeszcze na nogach mocno nie stojał: „dobrze — peda — odbiorę, ale gwardji narodowej nie wezmam, bo za pozwoleniem, Panie Prefekcie z łachami nie wojuję, lubię wojsko regularne, jak się patrzy".

„Kiej nie mam żadnego — molestuje Rembiński, „To się obaczy — śmieje się Łagowski. Pan nie ma, ale ja mam..."

Prefekt ci wytrzeszczył gały, że niby Kapitan ma w głowie nie tęgo, a ten, bracie, w te pędy do szpitala wojskowego i chłopcom, co już niby na wylizaniu byli, tylko jeszcze nijako nogami ruchali, mówi:

— „Tak i tak. Tokarówkę musimy zdobyć, kto na to ze mną?!

Ja, żem był już pono zdrowy, rękę do góry wyjmam i myślę, że będzie tyła, a tu za mną 70 chłopa. „Wiwat! — krzyczy. — Idziemy! Zabieramy Tokarówkę!"

No i co tu gadać, dyć wiecie, ogniomistrzu, że Tokarówkę zabrali.

W Płocku, panie, gwar się zrobił i wiwanty i inne radości, a nam stoły powynoszono, żeby niby żreć i pić, ile wlezie, ależ pono nikt wtedy onej wyżerki nie smakował, bractwo rycerskie z boju prosto na bety lazło, boć rany, jak to rany, pootwierały się na nowo; porucznik Rokicki wpadł w gangrenę i, zipnął tylko, panie dobrodzieju. Taki był, bracie, Łagowski, Kapitan!

— Piękna jabłoń, cudne jabłko z naszego, i djabłaby się nie uląkł — zgadzał się Rembowski.



.....Strach!!. ... *(fot. Dorys).*

— Aby tylko bez djabłów, panie sierżancie, bo, jakiem Osika, nie lubię nijakich piekielności. Bić, to bić, pić, to pić, ale z djabłami wara!

— Dobrze już, dobrze, weź tych 8 hultajów, ze dwie przyzwoite furmanki i zamelduj się Łagowskiemu, bo ja tu przy armatach zostaję.

*

Mała kawalkada ruszyła popołudniu. Poprzedzał ją Łagowski na zwinnym koniku, za nim ciągnęły dwie chłopskie podwody, zafasowane z taborów, wypchane żołnierzami, ich sprzętem i uprzężą.

Na wozach było wesoło, omawiali drobiazgowo szczegóły wyprawy.

— A więc uważcie i zrozumiejcie, chłopcy, zzujemy kamasze i onucze. Ola!... Zapomnieliśmy przecie, jak nasze nogi wyglądają. Pomyjemy się wszyscy od brudnych stóp do zmierzwionych głów.

...Popierzemy koszuliny, pozszywamy fest portczyny — przygadywał młody, rezolutny poeta, Zdzisiek, benjaminek baterji.

Aleć przedewszystkiem wyżerka... będziem wcinać bez ustania, kawę — pyszność, zupę — tłustość, kaszę, kluchy i słoninę. A kto wie, toć są folwarki, więc i kureczkę, nieboże, wtrąbi każdy, kto jeść może — improwizował Zdziś buńczucznie.

— A nie zapomnij o spaniu, — przypominali rozbawieni kamraci... — będziem kimać wiele godzin, może nawet siedem, osiem, bez nijakich gwałtów, rety! będzie roskosz, będzie laba, może nawet piec i baba...

Tak skracali sobie drogę, a wyobraźnia ich wskrzeszała wciąż nowe i nowe obrazy, prymitywnych zresztą roskoszy, które jednak miały urok bajeczny, i złudny nie do wiary.

Koło zachodu słońca, z poza lasu wyjrzał błyszczący dach dworu, lustrzanie łyskający w skośnych, mdłych promieniach zimowego, bladego słońca. Po chwili furmanki stanęły pod bramą, raczej przed szczątkami dawnej bramy, obecnie pociskami zniszczonej doszczętnie.

Nikt nie przywitał chlebem i solą — dwór wymarł. Z dziedzińca wiało pustką i przykrą jakowąś samotnością, ze skargą połamanych, żałośnie powyginanych konarów nagich lip i topoli, okalających ganek.

Nad dworem przeszła wichura wojny. Wielokrotnie zdobywany i oddawany, jeszcze onegdaj gościł sztab dywizji Geismara, o czem mówiły strzępy map poniszczonych, porwane papiery raportów, setki opróżnionych butelek, zmieszane z pogiętemi blaszankami, teczkami — całą rupieciarnią w popłochu ewakuowanego sztabu. W ogrodzie, na przecznicy huśtawki, zwisała pętla szubieniczna, a pod nią mały wzgórek świeżo usypanej ziemi opowiadał treściwie, bez słów, o tem, co zaszło.

Dzień konał szybko, a z mrokiem gasły rozradowane oblicza junaków. Opuszczony dwór nikomu nie przypadł do smaku, zamiast pałaców wyobrażonych—znajdowali ruiny, szkielety dawnej wspaniałości, bo też okazały musiał być dwór ten niedawno.

Pański — całą gębą. Pański trup — komentował w milczeniu Osika.

Jedynie Łagowski, nie zrażony, rozkazał szykować wieczerzę i nocleg, a gdy zmarkotniała wiara zebrała się pod gankiem do niecenia ognia, porucznik wszedł do domu, aby go bliżej obejrzeć.

W pierwszej chwili wydało mu się, że we dworze jest jakowyś ruch, pogwar stłumiony i życie, ale pojął odrazu, że są to pozory jedynie; nie było bowiem żadnych drzwi, zużytych widocznie na opał, a szyby strzaskały pociski, więc przeciągi hulały po wielkich, ponurych komnatach, budząc wrażenie ruchu i życia w martwocie pokiereszowanych kulami ścian i w strzępach mebli, skłębionych w masę bezkształtną brudnych szmat i drzazg strzaskanych dziko, starannie, niezawodnie. Jedynie sufity, nietknięte zniszczeniem, lepione ozdobnie i bogato, były wyniosłym pomnikiem na grobie opuszczonego domostwa.

Widok zniszczenia napełnił Łagowskiego nieokreślonym smętkiem i żałością. Chciało się nagle stanąć pośród tych wielkich pokojów i zawyć długo, długo, przeciągle...

Opanował się przecież i wlazł po drabiniastych schodach na piętro. Stanął w ogromnej komnacie bibljotecznej. Całą posadzkę wyściełała gruba warstwa kartek i książek, poszarpanych okropnie. Podniósł z brzegu grube, kredowe karty z ozdobnym nadrukiem: niemiecki album Holbeina, tuż obok porzucone karty dramatu — djalog Romea i Julji, więc Szekspir, Kochanowski, Kopernik... skłębione dzieła poniewierały się bezładnie, strzępy złoconych grzbietów i skóra okładek błyszczały w tych śmieciach kultury. Pod ścianą sterczał klawikord z porąbanym grzbietem. Porucznik odruchowo uderzył w pożółkłe zęby klawiszów, odpowiedział trzęsący, zgrzytliwy akord najzupełniej roztrojonego instrumentu.

Mimo wszystko, mniej szyb wybitych i podłoga, pokryta kartkami, stosunkowo czysta, pozwalała tu spędzić szybko zapadającą noc.

*

Po wieczerzy, spożytej w milczeniu, przeniesiono cały żołnierski sprzęt do bibljoteki. Gdy pozbierano kartki w jeden stos i złożono w kącie nakształt posłania dla Porucznika, bractwo pokładło się na ziemi, okrywając derami, prócz Osiki, który rozdzielił sprawiedliwie warty, wyznaczając je także Łagowskiemu, by zbytnio nie nużyć żołnierzy. Po chwili wszystko zapadło w spiżowy, twardy sen.

Łagowskiego obudziło szarpnięcie za ramię; stary służbista Osika udawał się na spoczynek, porucznik miał go zastąpić. Podniósł się jeszcze senny, przyjął podany karabin i usadowił się na stosie złożonych papierów, tuż u nóg wyciągniętego kaprala.

Noc była czarna, bezksiężycowa, całunem okrywała ziemię, gęsta czarność lepką masą otaczała świat cały. Ogromną martwą ciszę przerywały je-

dynie miarowe oddechy śpiących, lecz sen ich wyolbrzymiał tylko poczucie cichości i osamotnienia w tej kleistej, zwartej niemocie.

Łagowski oparł karabin o kolano, przymknął niewidzące nic oczy i mimowoli począł wsłuchiwać się w ciszę.

Jest coś dziwnego w naturze, nawet najbardziej spokojnej, wystarczy skupić i natężyć uwagę, by to, co wydaje się cichością i martwotą, ożywić nagle tysiącznemi dźwiękami. Rzeczywiście pochwycił czujnem uchem odgłos ledwie poruszanych gałązek, potrzask oddalony zeschłych posadzek i stłumiony, tępy pohuk dalekiej kanonady, a gdy koło północy zerwał się lekki wietrzyk, nowe życie wyzwolił w ciemności.

Owe wrażenie ruchu, o zmierzchu zauważone w domu, znowu narzuciło się świadomości. W miarę, jak się wsłuchiwał, ożywienie rosło. Czuł się nieswojo, starał się cicho oddychać, nie poruszać, każdy nowy dźwięk, szelest czy szmer, nawet wywołany przez niego mimowolnym ruchem, sprawiał mu dziwnie przykre, nieoczekiwane wrażenie. W następstwie opisał przeżycia tej nocy w swym pamiętniku w sposób następujący:

„...Nie zdawałem sobie dobrze sprawy, co mnie właściwie denerwowało, ale za parę słów któregokolwiek z mych śpiących witeziów, dałbym wiele, bardzo wiele, lecz moi drodzy chłopcy spali kamiennym, zasłużonym snem, ja tylko jeden czuwałem w tym przeklętym domu.

Stopniowo poznawałem wzmagające się naprężenie nerwów; naprózno usiłowałem się opanować. Ogarniał mnie nieumotywowany niepokój, przeświadczenie, że coś złego, dręczącego zawisło nade mną, coś, czego sobie nie wyobrażałem, ani widziałem, a jednak było przy mnie, było wszędzie. Dom wywarł złe wrażenie za dnia, teraz, w nocy nastąpiła koncentracja wszystkich przykrych myśli i stanów uczuciowych, od których nie mogłem i nie umiałem się bronić... Zbliżałem się do progu, do nieznanej dotychczas granicy samowiedzy i opanowania, stawałem w obliczu STRACHU. Dotychczas nie bałem się niczego, poprostu nie było we mnie miejsca na to uczucie, za chwilę jednak miałem je poznać w całej rozciągłości. Kurczowo zaciskałem zamek karabinu, wbijając paznokcie w drzewce łożyska. W miarę, jak usiłowałem walczyć ze sobą, stan przeciwnego napięcia rósł, pęczniał i potęgował się.

Nagle... stało się. Przeciągły, nieskończenie drżący, wysycony przedziwną wibracją ton przeszył czarny bezwład pokoju. Poczułem nerwowe zimno, koszula nie przylegała już do grzbietu — porwały mnie szpony dzikiego, nieumotywowanego przerażenia - strachu...

Dźwięk się powtórzył jeszcze żałośniejszy, nabrzmiały nieskończonym bólem, był to jęk kobiety, dziewczyny lub dziecka, szedł od ściany, sączył się po niej, czy też wypływał z poza niej, stawał się przeciągły, rozwlekły, natrętny. Wydało mi się, że zawołałem: Kto tam?!, tak wprawdzie usiłowałem zawołać, lecz przez spazmatycznie ściśniętą tchawicę nie mogłem chwilowo przecisnąć nawet szeptu.

Czułem przecież, że jeśli nie zdołam krzyknąć tak, aby obudzić mych chłopców — oszaleję. Resztki skołatanej świadomości wysączały się ze mnie, wreszcie głosem, którymby podniósł trupy, zawyłem: „Kto tam?!! Kto tam?! Kto?" Ten i ów ze śpiących, obudzony mym krzykiem, zrywając się, pytał: „Co się dzieje, co się stało, Panie Poruczniku?"... Lecz wówczas na nowo, stary dla mnie, świeży dla nich dźwięk od ściany zapłakał żałośnie.

„Słuchajcie! — jęknąłem dzikim, nieopanowanym głosem. — Słyszycie, coś płacze za ścianą, coś się śmieje!" jakby potwierdzając me słowa, dźwięk się powtórzył. Zdenerwowanie moje udzieliło się odrazu pozostałym. Nic nie jest tak zaraźliwe, jak strach. Rzeczywiście, Osika, stary, dzielny wiarus napoleoński, pierwszy zdrętwiał ze strachu i przerażenia; z „nieczystą siłą" nie umiał zupełnie walczyć, a gdy niesamowity dźwięk powtórzył się w nowej, przeszywającej mózg warjacji, Osika nie wytrzymał i palnął z karabinu.

Niby stu ludzi wypaliło jednocześnie — wystrzał powtórzył półgłos wszystkich pokojów, odbiły go wielokrotnie ściany, zdawało się, że cały dom wypełniono strzelcami. Za pierwszym strzałem Osiki, wybuchły inne, zaraźliwy przykład sugerował wszystkich, przyznaję, iż sam nie zdołałem się opanować i nacisnąłem cyngiel. Teraz już odgłos uwielokrotnionego huku potrząsał raz po raz całym, złowieszczym domem. Wydawało się, że na każdy nasz wystrzał, niewidzialny wróg odpowiada salwami. Czuliśmy wroga, lecz nie widzieliśmy go, jak nie widzieliśmy siebie. Byliśmy tylko zwierzęco, dziko pewni, że jest koło nas, że lada chwila runie na nas, gniotąc w ciemności liczbą i 'wiadomą, trzeźwą przewagą swej mocy. Niestety, w tej chwili zapomniałem o swej roli, obowiązku i honorze oficera, przestałem odczuwać i myśleć logicznie. Tymczasem oszalali żołnierze strzelali przez okna, drzwi, lub wprost przez ścianę, z poza której dochodziły harmonijne, lub pełne dysonansów muzycznych, jęknięcia. Jednak ta bezładna strzelanina miała swój zbawienny skutek, każdy nowy ładunek, umieszczony w lufie, drobiazgowa czynność nabijania broni uspakajały ponoszące nerwy, wracały myśli, opadało napięcie — wreszcie potężnym wysiłkiem woli zdołałem rozkazać, by zaprzestano strzelania. Usłuchali po chwili, przekonani zimnym, stanowczym tonem rozkazu.

Mimo zmęczenia nikt już nie zasnął, trwaliśmy nieskończenie znużeni obok siebie, bez słów w zawstydzającem, bolesnem milczeniu do szarego, mętnego świtu...

Nie śmieli spojrzeć na siebie. Gdy wreszcie porucznik podniósł głowę, by obejrzeć żołnierzy, przeraził się znowu: miał przed sobą sześć ziemistych, glinianych twarzy, stężałych w głupawem osłupieniu. Jedynie na uboczu, oparty o ścianę, ogromnie biały i ogromnie cichy siedział Zdzich, wesołek i poeta. Jasne sukno munduru zamazywały duże, mętne plamy. Porucznik przyczołgał się doń na kolanach i drżącym palcem potarł świeżą plamę — na palcu miał lepką, krzepnącą rdzę krwi.

„Zdzichu, — zawołał cicho, — Zdzichu!" i pociągnął go za rękaw. Trup z głuchym łoskotem padł na ziemię, uderzając głową, niby drewnianą, o ścianę, Zdzich był jedyną ofiarą tej nocy, w ciemności przeszyła mu serce któraś z szalonych, braterskich kul.

— Chłopcy — wyszeptał Łagowski. — Chłopcy, stało się coś najgorszego. Oto...

Lecz zanim skończył zaczęte zdanie, nocny, niesamowity ton zawibrował w pokoju. Porucznik drgnął mimowoli, ale ledwie spojrzał na śmieszne złamanego Zdzisia, zwrócił się w kierunku dźwięku. Płynął wyraźnie od klawikordu, czyżby w nim pokutowała ta nieszczęsna dusza?

Przysunął się na palcach do instrumentu, zajrzał ostrożnie do wnętrza i... ujrzał między strunami klawikordu dwie luźne kartki, które, przesuwane wiatrem, ślizgały się po nich, wyzwalając ów dźwięk subtelny, płaczliwy i harmonijny zarazem.

Łagowski wybuchnął szalonym, spazmatycznym śmiechem.

— Dlatego zginął miły, wesoły Zdzisiek. Dlatego — śmiał się potwornie, a grube, ciężkie, męskie łzy płynęły mu po twarzy. Zrozumiał, że odtąd nie zazna STRACHU.

*

Po tygodniu, nowo utworzona baterja, pod wodzą świeżo awansowanego kapitana Łagowskiego, ostrzeliwała pozycje Kreutza za Wisłą.

METAMORFOZA PIĘKNEJ PANI







— — — — *Włosy* *Jedno oko* *Drugie oko* *Usta* *...i gotowe*

JERZY LEWESTAM.

Studenci

Przedewszystkiem widzimy na ulicy ich czapki.

Biało-amarantowe, brązowe, szare, zielone, wiją się wśród tysiącznego mrowia ludzkiego, patrzą się wśród szarzyzny tłumu, mienią się w słońcu roześmianej ulicy.

Studenci!

W słowie tem kryje się wiele. Jakaś mieszanka starej żakowskiej tradycji z nowym wiecznie dzisiejszym sentymentem. Przecież to ci sami, którzy przed laty konspirujący, tropieni, wysyłani na Sybir wywalczali nam niepodległość. Ci sami, którzy w roku 1920 stanęli do szeregu, by powstrzymać nawałę bolszewicką. Ci, którzy jutro będą stanowili naszą inteligencję.

Młodzi, wywołujący częstokroć uśmiech sympatji na pomarszczonej przez życie twarzy staruszka. Toć to przecie oni, którzy kiedyś... w nich cała nadzieja... cała przyszłość...

* * *

Audytorjum buczy! Za chwilę prof. Witwicki rozpocznie wykład, wtajemniczając słuchaczy w to „czem są w życiu człowieka dyspozycje psychiczne". Tłok niemożliwy.

— Panie Michale, czy zajął mi pan miejsce?

— Jak Boga kocham, panno Janeczko, położyłem indeks.

— Trudno, kobiety chcą dziś równouprawnienia, wszyscy chcemy siadywać na wykładach, — wtrąca jakiś cyniczny głos.



Ogonek przy telefonie (u góry). Na kuchence gazowej można ugotować nietylko herbatę, ale i usmażyć smaczną jajecznicę (u dołu).

Przystojna hołdowniczka wiedzy krzywi się.

— Kolega bierze to równouprawnienie z najbrzydszej strony, nie umiecie nawet uszanować...

Do auli wchodzi barczysta siwa postać.

Szmer cichnie. Chwilę jeszcze szumi szeptem poszczególnych zdań — wreszcie rozpełza się, zamiera.

Słuchają. Wszak nie są już sztubakami.

Akademicy!

* * *

Obiad! Szczęk talerzy, noży, widelców. Mnóstwo młodych postaci obsiadło podłużne stoły.

— Kaziu, pożycz mi złotówkę, mam dziś tylko 20 groszaków — mówi jakiś blondynek o błękitnych marzycielskich oczach.

— Złotówkę, widzicie go, hrabia, znalazł sobie bankiera. Do mnie, to jak w dym...

Mały srebrny pieniążek brzęczy cicho o ceratę, zastępującą obrus. Wszyscy się śmieją.

— Udało mu się. Trafił na dobry humor grubasa. Będzie zmiatał jak się patrzy. A to ci laba!

W drugim końcu bratniackiej kuchni powstaje nagle wrzawa. To Hanka Trzpiotalska oblała sosem nowe skrypta i tonie w czarnej rozpaczy.

— Cały rok mieć przed oczyma te tłuste plamy pomidorowego sosu — jęczy. Hanka Trzpiotalska jest estetką.

— To nic, koleżanko — pociesza ją niezmiernie chudy szatyn — i tak dostaliście podobno gratisowe obiady, to teraz bratniak chce byście pamiętali...

* *



W polskiem „Quartier Latin" przy ulicy Grójeckiej w Warszawie. Czysto, ciepło, miło i... swobodnie.

Mały pokoik w domu akademickim na Grójeckiej.

Siedzą. Staś „kuje" prawo rzymskie. Jerzy ceruje skarpetki.

Drzwi otwierają się nagłem szarpnięciem. Wpada do pokoju wysoki roześmiany chłopak.

— Czegóż tak późno? — mruczy Jerzy, całkowicie pochłonięty igłą.

— Znasz Wandę? Bycza jest, niema co mówić! Te dwa roskoszne dołeczki na policzkach. „Zlała" się dzisiaj u Szobera, jak to kobity przeważnie na polonistyce. Musiałem ją pocieszać. Tak była zmartwiona, że prawie nie zauważyła, iż ją pocałowałem. Ha!

— Uważaj, Jurek! Zwykle niewiasty nie zauważają, gdy je całują — wtrąca pochylona nad skryptami postać.

* * *

Dom Akademiczek!

Wanda gotuje herbatę na maleńkim prymusie.

— ... a potem, widzisz, Irka, gdy zauważył, że mam łzy w oczach objął mnie silnie i pocałował w same usta. Czy słyszysz Iruś — w usta!!!... — mówi z przejęciem Wanda.

— Phi!... mnie już dwa lata temu, gdym się przygotowywała do Żyskowskiego pocałował Romek Nasiecki i jakoś to przeżyłam — nie chwaląc się...

Wanda milknie.

* * *

A potem co? „Korki", praca, nauka, znów „korki". Dużo śmiechu. Jakaś wielka młodociana miłość. Chroniczny brak pieniędzy i przedziwna beztroska.

Mamy już dzisiaj w Warszawie parę domów akademickich (kolonja na ul. Grójeckiej 3a — 2.000 studentów, Dom Akad. — Polna — 200 studentów, Dom Akademiczek — Górnośląska — 300 studentek), liczne ogniska, kuchnie akademickie.

Nędza wśród uczącej się braci bywa niekiedy straszna, lecz zwycięża ją młodość i zdrowie.

Starsze społeczeństwo patrzy na to z uśmiechem, czasem nawet z żalem, lecz rzadko wyciąga rękę z pomocą.

A przecież ci sami dzisiejsi mecenasi, inżynierowie, handlowcy i doktorzy zapominają, że mają do czynienia z mecenasami, inżynierami i doktorami jutra.

Niezwykle trudna walka o byt wsączyła do serc młodych trochę jadu goryczy, zabijając złudzenia i zapał, ale świetna żakowska tradycja żyje jeszcze dziś w pełni.

Wierzymy, że dwa pokolenia potrafią się zbliżyć. Starość zrozumie młodość.

Boć przecie — wy wszyscy, którzyście też kiedyś studjowali, powiedźcie z ręką na sercu, czy choć jeden z was oprzeć się może pewnemu wzruszeniu, gdy nagle chór dźwięcznych młodzieńczych głosów zanuci:

Vivat Academia!
Vivant Professores!

To Polska jutra! Powinno się o nią dbać więcej i więcej się z nią zżywać!

$

GORĄCZKA ZŁOTA ZA OCEANEM

Broad Street w New-Yorku zapełniona ciżbą tłumu. Policja z trudnością utrzymuje porządek, niełedwo musi użyć siły, by dać przejście zaaferowanym interesantom, śpieszącym do gmachu giełdowego — *Stock Exchange*. Bo oto stał się fakt wstrząsający — napęczniałe koryta, przez które kapitał z całego świata spływa do Stanów Zjednoczonych nie wytrzymały napięcia — krach...

Nie wchodząc w szczegóły tej katastrofy finansowej, której wytłumaczenie znajdą Czytelnicy w codziennej i fachowej prasie, przypomnieć należy, iż podobne zjawiska niejednokrotnie miały miejsca w tym kraju, uznanym powszechnie za najlepiej zorganizowany pod względem gospodarczym, dzierżącym od dziesiątków lat prym na wszystkich rynkach świata. Jeden z największych krachów miał miejsce w r. 1908, a Stany Zjednoczone uciekły się do zakupna złota w Anglji. Finansjera angielska udała się zkolei do Francji, z której wysłano 75 miljardów w złocie. Podczas trwania tych pertraktacyj, dyktatorem finansowym stał się Pierpont Morgan, który zażądał przedewszystkiem, aby każdy z dyrektorów zachwianych banków, natychmiast inwestował cały swój majątek celem powstrzymania paniki. „Muszą się Panowie zgodzić — oświadczył zebranym w swoim pałacu przy 5-ej Avenue — iż jeśli sami nie macie zaufania do instytucyj, któremi kierujecie, to jakże żądać, by społeczeństwo mogło wam ufać.“ To mówiąc zaprosił ich do okna i wskazał tłumy ludzi ze wszelkich sfer, którzy głowa przy głowie, od paru dni, zalegali ulicę miljarderów, oczekując ocalenia zagrożonego mienia. Prostota rozumowania iście amerykańska, a kilkomiesięczna walka, prowadzona z nadzwyczajnym wysiłkiem i poświęceniem przywróciła zachwianą równowagę.



Broad Street, ulica w New-Yorku, na której w ciągu minuty można zdobyć fortunę, lub stać się nędzarzem. Na fotografji widzimy gmach giełdy.



Pierpont Morgan, mianowany dyktatorem finansowym Ameryki, podczas krachu giełdowego w 1908 r.



„Billion Dollar Dinner“. Na cześć pionierów przemysłu amerykańskiego Columbia University, Izba Handlowa w New-Yorku i Stowarzyszenie Kupców wydały bankiet, któremu prezydowali: T. A. Edison, Sir. T. Lipton, C. N. Schwab i Henryk Ford — twórcy potęgi gospodarczej Stanów Zjednoczonych.

Nie pragnę, jak mówiłem, wdawać się w rozważania, jakie przyczyny doprowadziły do obecnego kryzysu, pewien jestem natomiast, iż Czytelnicy zainteresują się strukturą giełdy nowojorskiej, w której rozgrywały się te niezwykłe wypadki.

Stock Exchange w New-Yorku zostało założone w r. 1792 na zasadzie umowy pomiędzy 24-a maklerami finansowymi. Zebrania giełdowe odbywały się podówczas pod konarami olbrzymiego platana, na miejscu, gdzie wznosi się dziś olbrzymi drapacz chmur — dom oznaczony numerem 68-m przy Wall-Street. Operacje dotyczyły regulowania obiegu pierwszej emisji obligacyj, które pierwszy Kongres Stanów wypuścił w wysokości 80 milj. dolarów. W r. 1817, pierwotna umowa pomiędzy maklerami została należycie zalegalizowana pod nazwą *New York and Exchange Board*, a siedziba instytucji przeniesiona z pod drzewa na drugie piętro domu przy ul. Wall Street pod N. 40. W r. 1830 dopuszczono do obrotów walory przemysłowe, obejmujące przedsiębiorstwa kolejowe *Mohawk and Hudson*. W r. 1868 zezwolono agentom giełdowym pobierać zapłatę za stanowisko na giełdzie. W rok później podniesiono ilość agentów do 1060; w roku 1878 zanotowano znaczne ożywienie na giełdzie, dzięki zaprowadzeniu telefonów, aż wreszcie w roku 1903 przeniesiono siedzibę do obecnie zajmowanego gmachu przy ul. Broad Street.

Stanowisko maklera jest niezmiernie kosztowne do nabycia. W r. 1870 płacono za nie 400 dolarów, na początku b. stulecia cena ta dochodziła do 50.000 dolarów, w obecnej chwili (ostatnią tranzakcję zawarto w r. 1928), żądają 600.000 dolarów. Stoi to, oczywista, w bezpośrednim związku ze wzrostem liczby tranzakcyj. Cyfry te są wprost zawrotne. Oto bowiem w ciągu r. 1928 uważano za rekordowy dzień 23 listopada, kiedy zanotowano 6.954.000 akcyj. Zauważyć należy ponadto, iż *Stock Exchange* nie uznaje operacyj na termin, lecz wszystkie muszą być dokonane w przeciągu 24 godzin od zawarcia „szlusu“. Oczywistą jest rzeczą, iż podobne tempo interesów wymaga uruchomienia ogromnych kapitałów, których spekulujący nie mogą wykładać na miejscu. Uciekają się wówczas do pomocy maklerów, którzy pożyczają im potrzebne fundusze, t. zw. *Call money* na przeciąg 24 godz., licząc odsetki zależnie od zapotrzebowania rynku, jak obecnie w granicach 6 do 14% w stosunku rocznym. Bywa jednak, iż w chwili wzmożonych operacyj stopa procentowa wzrasta niepomiernie ponad normę. Przykładem — zawieszenie płatności w r. 1907 przez Knikerboker Trust Co, kiedy żądano 125%.

Maklerzy giełdowi dzielą się na kilka kategoryj. Oto przedewszystkiem *broker'zy*, działający jako pośrednicy bez własnego zaangażowania się. Następnie idą maklerzy, którzy operują jednocześnie jako pośrednicy i na własny rachunek. Dalej idą maklerzy-specjaliści, przywiązani wyłącznie do pewnej kategorji walorów (stal, miedź, nafta i t. p.). Wreszcie t. zw. *„broker'zy po 2 dolary“*, stanowiący organizację pomocniczą dla maklerów, pracujących na terenie giełdy. Nazwa ich pochodzi stąd, iż za spełnioną tranzakcję pobierali stałą prowizję w wysokości 2 dol. (podniesiona obecnie do 50 centów).

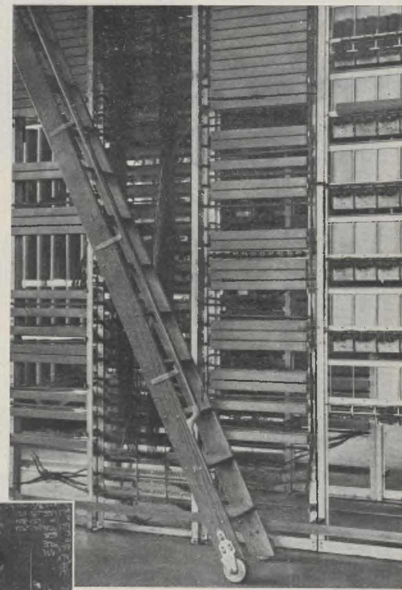
$

Funkcjonowanie giełdy jest niezmiernie szybkie. W wielkiej sali rozmieszczone są kjoski przeznaczone dla każdego z walorów, dopuszczonych do obrotów, t. zw. *posts*. Każdy z post'ów połączony jest pocztą pneumatyczną z kabinami telefonicznemi. Pomiędzy post'ami znajdują się urządzenia, zwane *ticker'ami*, które, natychmiast po dokonaniu tranzakcji, zapisują ją ze wszystkiemi szczegółami, skąd cyfra wyrzucona jest automatycznie na wielkie tablice świetlne, umieszczone wgłębi po obu bokach sali; wiadomości te transmitowane są jednocześnie nazewnątrz, do ticker'ów, rozmieszczonych na wszystkich giełdach Stanów. W ten sposób osiąga się najdokładniejszą kontrolę, która zabezpiecza klienta przed wszelkiemi możliwemi kombinacjami. Z obu stron wielkiej sali znajdują się kabiny telefoniczne poszczególnych broker'ów, bezpośrednio połączone z ich biurami miejskiemi.

Doskonała ta zdawałoby się, organizacja, posiada, zdaniem specjalistów wiele usterek, zwłaszcza wobec wzrastającej z dnia na dzień spekulacji giełdowej.

Nie obawiajmy się jednak za Amerykanów. Nim zdążymy na starym kontynencie dojść do ich perfekcji — wspaniałe urządzenia dzisiejsze na Broad Street, będą uważane za Oceanem za przestarzałe, nadające się do muzealnego traktowania.

Bo w „gorączce złota“ nikt im nie dorówna...



Tablica, na której notowania giełdy są wypisywane, w miarę przeprowadzanych tranzakcyj na giełdzie w New-Yorku.



Na fotografji widzimy urzędniczkę giełdy chińskiej w San-Francisco, zapisującą notowania, transmitowane z New-Yorku.

Suknia długa, czy krótka?

(Korespond. własna z Paryża).

Kobiety z pewnością przyszły do przekonania, że my, mężczyźni, uważamy, iż posiadają tylko nogi; że już nie zwracamy uwagi ani na biust, ani na twarz, ani na inteligencję, a mamy oczy tylko dla kostek i łydek. I postanowiły zakryć spód, a odsłonić górę.

Tylko w tem cały sęk, że same jeszcze nie są zdecydowane. Przyjąć suknię długą, która podobno postarza i to, gdy mamy jeszcze wszyscy w pamięci suknię z trenem, która dziś aż nadto śmieszną i dziwaczną się nam wydaje. A potem względy praktyczne: kobieta dzisiejsza nie kołysze się na szezlongu, ale pracuje. Zmuszona jest dziś chodzić cały dzień, udawać się do biura, jeździć, podróżować, prowadzić samochód, ba... nawet samolot. Potrzebuje sukni niekrępującej jej ruchów i swobody. Suknia krótka do tego celu okazała się idealną i wzrosła już w życie i obyczaje. Czy możemy sobie dziś wyobrazić kobietę, wskakującą do autobusu lub tramwaju z długim trenem, zarzuconym na ramię? Nie, to niepodobna. To byłby przewrót zupełny.

Ale przecież trzeba, żeby się coś zmieniło. Moda nie może stać w miejscu, inaczej nią być przestanie.

Nie ulega dziś wątpliwości, że wszechwładztwo sukni krótkiej skończyło się. Umiera ona z własnej winy. Własne ekstrawagancje ją dobiły. Z ciągłej obawy, że się nie jest dość „à la page", że się nie jest w absolutnej zgodzie z wymaganiami mody, kobiety nie umiały sobie nałożyć granic i zatraciły miarę. Zaczęły odsłaniać kolana i skracać, skracać... czy było jeszcze coś, czy już nic do skrócenia. W tym roku dopiero ci, którzy dyktują modę Paryżowi i całemu światu, zebrali się na odwagę i przypuścili generalny szturm. Nie śmieli jednak działać radykalnie. Zaczęli od tego, że wydłużyli spódniczki od tyłu, tak, że sięgnęły prawie ziemi. Ale z przodu odkrywały nogi prawie zupełnie, jak dotąd... Temi niewinnemi figielkami, zcicha pęk, przygotowują zagładę sukni krótkiej, by zeszła z tego świata, nie domyślając się nawet, kiedy i jak. Bo już jutro zapowiadana jest suknia długa, zupełnie długa, całkowicie, bez reszty, z trenem w dodatku.



Wizja z przed lat 25. Suknia, kryjąca zazdrośnie, przed wzrokiem mężczyzny, wdzięki pięknych pań (Photo-Plat).

Ale walka trwa. W stolicy mody, w Paryżu, rozgrywa się w tej chwili namiętna kontrowersja. Dzienniki rozpisują ankiety, dyktatorzy mody oblegani są przez interviewerów, odbywają się publiczne dyskusje. Długa, czy krótka? Zdaje się, że niema w tej chwili ważniejszej kwestji. Mogą się walić gabinety. Może sobie Liga Narodów proponować wojnę albo pokój. Może Japonję nawiedzić nowe trzęsienie ziemi. To wszystko nic. Długa czy krótka — oto jest pytanie.

— Nie pozwolimy się pozbawiać naszej głównej ozdoby — wołają właścicielki zgrabnych nóżek...

— Najwyższy czas skończyć już z tą modą — odpowiadają im z przeciwnego obozu. Właściciele wielkich magazynów mód trąbią na alarm nie na żarty. Taki Patou, bądź co bądź, wyrocznia w sprawach mody, odsądza suknię krótką od czci i wiary.

Moda krótkiej sukni jest, według jego opinji, modą, przywleczoną z Ameryki; modą, którą łatwo jest, po amerykańsku, wykonywać seryjnie; modą, stworzoną dla Amerykanek o długich nogach. Kobiety szczepu łacińskiego, o łydkach raczej krótkich, popełniły błąd nie do darowania, że poszły na oślep za przykładem Amerykanek. Rezultat: od czasu wojny niema we Francji kobiet eleganckich.

Patou jest ponadto zdania, że wdzięki niewieście tak, jak cnota, winny być ukryte. Na poparcie tej tezy dodaje, że mężczyźni lubią to, co nieznane i tajemnicze. Otóż, czego tu można żądać od sukni krótkiej, skoro odsłania prawie wszystko.

Właściwym jednak powodem wyroku śmierci, rzuconym przez p. Patou na suknię krótką, są chyba względy bardziej dotykalne. Nie tai sam, że z chwilą zapanowania sukni krótkiej, francuskie magazyny mód stanęły wobec groźby katastrofy. Amerykanie z łatwością wykonywali u siebie, seryjnie, modele zbyt proste, które wystarczyło im oglądać w Paryżu, nie potrzebując ich nawet kupować. W ten sposób odpadła Paryżowi wielka część klijenteli. Francuski przemysł modniarski wegetował. Zniknęło zamiłowanie do wytwornych materjałów z dużym nakładem pracy i kosztów wykonanych. Wyszły z użycia toalety, które wymagały niezawodnych rąk doświadczonych modystek paryskich. Rozpanoszyła się szarzyzna, dostępna dla wszystkich. Zawsze zaś, gdy tłum może łatwo opanować jakąś modę, jest ona, zdaniem p. Patou, modą złą.

Jakkolwiekbądź, suknia długa zwyciężyła już jako suknia wieczorowa. Podobno w Ameryce zapanowało już w związku z tem prawdziwe zamieszanie i przerażenie, gdyż odtąd nie wystarczy już posiadania dobrego wzoru, dla kopjowania modeli francuskich.

Czy jednak kobiety dzisiejsze dadzą sobie narzucić suknię długą na ulicę, do biura, sportu? Mało prawdopodobne... Obecny, ruchliwy tryb życia zdaje się na to nie pozwalać. W wielu okolicznościach, za dnia przedewszystkiem, krótka sukienka jest najwłaściwsza, jeśli nie konieczna. Możliwe tylko, że się nieco wydłuży, tak, że zasłoni zupełnie kolana. Tak przynajmniej twierdzą znawcy.

Najdziwniejsze jednak w tem wszystkiem jest to, że nas, mężczyzn nikt się nie pyta o zdanie.

Proszeni, czy nieproszeni, zabieramy też głos w tej materji (My rządzimy światem...).

W Paryżu asystowałem w tych dniach na wieczorze dyskusyjnym słynnego Klubu Przedmieścia (Club du Faubourg), który trzy razy w tygodniu organizuje ogromnie interesujące publiczne debaty, nad każdą aktualną kwestją mody, polityki, literatury i t. d.

Na wokandzie była właśnie tego wieczoru sprawa sukni. W dyskusji zabierali głos gęsto przedstawiciele płci silnej. Jeden z mówców oświadczył się za sukniami krótkiemi, gdyż wymagając mniej materjału, powinny być tańsze. Wogóle opowiedział się za tem, żeby je nosiły kobiety ładne, zaś suknie długie powinny być z urzędu wyznaczone kobietom brzydkim. Inny mówca nie wypowiedział się ani za, ani przeciw sukniom długim czy krótkim, natomiast z całą energją oświadczył się przeciw rachunkom... Wszyscy mężowie gorąco mu przyklasną... Wreszcie przedstawiciel medycyny określił swą opinję w zdaniu: „Im więcej ciało się odsłania, tem lepiej transpiruje".

Mężczyźni zatem, w przygniatającej większości, jeśli nie jednomyślnie, opowiadają się za krótką spódniczką.

Nie chcąc swojej zdrowej głowy kłaść pod ewangelję i narażać się na ataki, wyrzekam się własnej opinji. Ale ponieważ trzeba ten artykuł zakończyć jakąś rozsądną konkluzją, dla orjentacji czytelniczek „7 DNI", powiem, że sprawa stoi dziś w Paryżu tak: suknia krótka na dzień, długa na wieczór.

Tak jest dziś, a co będzie jutro, niewiadomo. Z tak kapryśną istotą, jak kobieta i tak niestałą rzeczą, jak moda, wszystko możliwe. *Kazimierz Kukucz.*



Kostjum, sięgający parę centymetrów za kolanka.



Ostatni model paryski sukni wieczorowej.

OBRAZKI Z SĄDÓW.

Sąd pracy

Mała, zapchana ciżbą ludzką, salka na Kruczej; na podjum wielki rzeźbiony stół, fotele dla sędziów i krzesło dla sekretarza. Po środku — Przewodniczący Sądu Pracy, po obu jego stronach — ławnicy, przedstawiciele społeczeństwa.

— Więc należy się pani 45 zł. — za co? — zwraca się sędzia do powódki, starej kobieciny, nędznie odzianej.

— A bo to proszę Jaśnie Najwyższego Sądu, ta pani to się ze mną umówiła, że będzie płacić 30 złotych na miesiąc, a za pranie oddzielnie, a to jak ja odeszłam w lipcu, nie — kiedy to było? — w sierpniu — tak — 24-go, w sobotę — to mi nie chciała zapłacić za 7 dni, co się jeszcze należało i za pranie i za mycie podłogi, bo to jak przyjechała siostra tej pani, nie ta zamężna, a ta młodsza, z narzeczonym...

— Niepotrzebne są te szczegóły — przerywa sędzia. — Więc należało się pani za 7 dni, za miesiąc służby i dodatkowe usługi — razem 45 złotych, tak?

— Nie, panie sędzio, jej się nic nie należy ode mnie, Bóg mi świadkiem, że nie, i na to mogę w każdej chwili w kościele przysięgać! Ona była leniwa, nieposłuszna, okradała mnie... — woła zaperzona „Pani" w przedhistorycznym kapeluszu z piórkiem, w zrudziałym żakieciku, zapiętym na wszystkie 24 guziki pod samą szyję.

— Może się strony pogodzą? — proponuje sędzia.

— Ja nie chcę! Jej się nic ode mnie nie należy — oponuje „Pani".

— Może jednak? — ponawia propozycję sędzia, wiedząc zgóry, że po zbadaniu świadków, po całem postępowaniu dowodowem, przed wydaniem wyroku strony się pogodzą.

— Za nic na świecie!

Po piętnastu minutach, po zbadaniu świadków, po przekonywujących przemówieniach stron, kiedy okoliczności sprawy są taksamo niewyjaśnione, jak przedtem (niewłaściwi świadkowie, nieodpowiednio sformułowane żądania) — następuje pogodzenie. Pozwana, płaci ostentacyjnie 37 złotych, powódka przyjmuje, wychodzą obydwie zadowolone i dumne: był Sąd, była Sprawa — każda miała sposobność wypowiedzieć, co jej leżało na duszy...

...Pisze pan w swej skardze, że należy się panu od firmy X — 3526 zł. 65 gr. i ani trochę mniej — pyta sędzia powoda (typowa sprawa pracowników umysłowych) — jak pan to sobie wyliczył?

— Wynagrodzenie za trzy miesiące za zwolnienie z pracy bez wypowiedzenia, jeden miesiąc urlopu i za dwa lata pracy w godzinach nadliczbowych — odpowiada zredukowany pracownik umysłowy: biuralista, korespondent, pomocnik buchaltera i t. p.

— A pan co powie? — zwraca się sędzia do adwokata, pełnomocnika strony przeciwnej.

— Przyznaję jedynie wynagrodzenie za urlop w wysokości 300 złotych, w pozostałej części żądania powoda są bezzasadne. Sprowadzony przeze mnie świadek zezna, że wypowiedzenie miało miejsce, pozatem twierdzę, że powód nie pracował w godzinach nadliczbowych. W każdym razie, gdyby udało mu się udowodnić tę okoliczność, to powołuję się na upływ sześciomiesięcznego przedawnienia.

Próby pojednania z reguły pozostają bezskuteczne. Powód, zapatrzony w tysiące, których żąda, nie może się zgodzić na drobną stosunkowo sumę, proponowaną przez stronę przeciwną. Sąd rozpatruje sprawę i najczęściej wynagrodzenia za godziny nadliczbowe nie zasądza. Przedewszystkiem dlatego, że Sądy Pracy stosują do należności za godziny nadliczbowe przedawnienie sześciomiesięczne, czyli, że z żądania n. p. 2000 zł. za 2 lata pozostaje tylko 500 zł. za *ostatnie sześć miesięcy* pracy. Sąd Okręgowy, rozpatrując jako instancja odwoławcza skargi apelacyjne od wyroków Sądu Pracy, taką praktykę zatwierdził. A pozatem — i tę zmniejszoną sumę trudno udowodnić. Świadkowie, najczęściej współpracownicy, zatrudnieni w dalszym ciągu w firmie pozwanej, zeznają pod moralną presją zwierzchnika niechętnie, bądź wcale, a cały szereg bezpodstawnych spraw, wytoczonych przez ludzi, liczących na szybkie zbogacenie się na tej drodze — sprawił, że Sądy Pracy z reguły odnoszą się sceptycznie do żądań wynagrodzenia za godziny nadliczbowe.

Inny obrazek:

Robotnik. Żąda wynagrodzenia za dwa tygodnie. Zwolniono go z pracy bez wypowiedzenia. Pozwana — wielka firma budowlana.

— Myśmy wypowiedzieli pracę przez ogłoszenie na bramie wejściowej — na dwa tygodnie naprzód — mówi adwokat.

— Czy tak było? — pyta sędzia.

— Tak, panie sędzio, ale takie wypowiedzenia bywały ciągle. Jak pracowałem od kwietnia do lipca, to z pięć razy nam wypowiadali pracę. Jak się jedno wypowiedzenie skończyło, zaraz było drugie.

Świadkowie potwierdzają słowa robotnika. Sąd zasądza 2-tygodniowe odszkodowanie.

Wypowiadając pracę robotnikom kolejno trzy razy, firma starała się obejść prawo, aby uchylić się od wypłacenia dwutygodniowego wynagrodzenia.

Sądy Pracy, stworzone przez głęboką myśl społeczną ustawodawcy, są ważną zdobyczą pracownika; jakie będzie jednak zetknięcie idei z życiem — przyszłość dopiero pokaże. Narazie młoda ta instytucja pracuje w warunkach opłakanych. W Sądzie Pracy Warszawa Południe (Krucza 29) w chwili obecnej jest jeden jedyny sędzia, który tygodniowo zasiada na czterech sesjach, t. j. rozstrzyga przeciętnie 80 spraw, z których każdą oczywiście uprzednio przygotowuje, a w następstwie po wydaniu wyroku musi zaopatrzeć motywami!

Jest to praca częstokroć ponad siły, wymagająca nie 8-miu, a 16-tu godzin dziennie, ale i przy takiej pracy nie można wydołać wymogom życia i petent, wnoszący powództwo, czekać musi na sprawę do 2 miesięcy.

W tych warunkach odpada najważniejszy bodaj dla pracownika atut Sądów Pracy — szybkość wymiaru sprawiedliwości. Zaznacza się wyraźnie dysproporcja pomiędzy stanowieniem, a wykonaniem ustawy, dysproporcja, która z czasem — niewątpliwie zostanie usunięta.

I. E.

CZY WIECIE ŻE...

...pralnie towarzystwa wagonów sypialnych Pullmana piorą dziennie miljon sztuk bielizny dla swych 9.000 wagonów. Towarzystwo posiada zapas 10 miljonów sztuk bielizny. Rocznie zużywa się 750 tysięcy sztuk, zaś ginie 2 miljony.

...królem trampów amerykańskich jest Tom Paraguay. Przewędrował on wzdłuż i wszerz Kanadę, Stany Zjednoczone, Alaskę, Meksyk, Argentynę, Brazylję. Wszystkie podróże odbył, oczywiście, na „gapę".

Teatr Narodowy

Robert Cedric Sheriff: „Kres wędrówki" („Journey's end"). Reż.: Ryszard Ordyński.

Wojna — to odwieczny temat poetów i pisarzy od homerowej „Iljady" począwszy. Bezpośrednio po ostatniej wojnie światowej mniej o niej pisano. Starano się oderwać umysł od tych potężnie-tragicznych przeżyć. Szukano zapomnienia w fantazji („Atlantyda" Benoit'a) lub wyładowania dławionego przez długie lata erotyzmu („Chłopczyca" Margueritte'a). Zbyt świeże jeszcze były rany, aby przyjmowano przychylnie krwawe reminiscencje (Barbusse, Duhamel). Dopiero, gdy zarosły blizny, publiczność rzuciła się łapczywie na pozornie objektywne, lecz jakże w swym narracyjnym spokoju jaskrawe odbłyski krwawych łun wojennych. Miały przyprawę bądź naiwnie tragi-komiczną, jak gawędy „dobrego wojaka Szwejka" Haszka, lub wstrząsająco-naturalistyczną, jak tytaniczne malowidło Remarque'a.

Nie zdziwimy się, gdy z tych wszystkich opowieści o wojnie największem powodzeniem cieszyć się będzie u nas żywy pamiętnik angielskiego oficera, który w udramatyzowanej postaci pokazano nam w teatrze Narodowym. Sztuka ta cieszy się coprawda jednakowem powodzeniem w Anglji, jak — wielce znamienny fakt! — w Niemczech, nigdzie wszakże chyba tak nie trafia do przekonania, jak u nas. Sztuka ta daje nam bowiem to, czego nie posiada żadne z wymienionych dzieł. Ujmuje wojnę, jak to, zresztą, już uczynił u nas Andrzej Strug — jako twardą, nieuniknioną, konieczność dziejową, nie bohaterską zabawę. Przekonał się o tem Sheriff, uosobiony w jego sztuce przez młodego oficerka, któremu się zdaje z początku, że przyszedł do lepianki w okopach pod St. Quentin, jak na mecz piłki nożnej, a dopiero w zetknięciu się z grozą wojny, pojmuje, że tu jest drobnym, ale niezbędnym pionkiem kataklizmu dziejowego. Autor umyślnie wydobywa najaw całą okropność wojny, aby tem dobitniej podkreślić jej powagę. Kapitan Stanhope powstrzymuje słabego na duchu ppor. Hibberta od dezercji z posterunku, mówiąc mu: „Co to będzie, gdy i ja, gdy wszyscy wogóle uciekną?". Sztuka Sheriffa jest dla nas wielce aktualną. Malując grozę wojny, nawołuje milcząco do tego, aby kulturalne społeczeństwa raz na zawsze zerwały z orężnem załatwianiem swych sporów, zarazem wszakże stwierdza, że gdy konieczność dziejowa powoła pod broń, niewolno cofnąć się od spełnienia swego obowiązku.

Aktorzy teatru Narodowego z pp. Węgrzynem, Szymańskim, Myszkiewiczem, Biegańskim i Warneckim na czele z wielką mocą ekspresji dramatycznej odegrali tę sztukę, zbyt powolnie, może, zwłaszcza w pierwszej połowie, lecz trzymają widza w napięciu od początku do końca.

H. Liński.



Wystawiona w Teatrze Narodowym sztuka, p. t. „Kres wędrówki", cieszy się ogromnem powodzeniem. Na fotografji widzimy Lenczewskiego i Szymańskiego, jako oficerów angielskich.
(Fot. J. Malarski).





Gmina miasta Wiednia wybudowała olbrzymie osiedle blokowe „Sandleiten", złożone z domów, odpowiadających ostatnim wymogom techniki współczesnej. Przestronne i widne mieszkania, urządzone z komfortem, oddawane są po bardzo niskich cenach.

Rozwiązanie sprawy mieszkaniowej przez gminę m. Wiednia

Miasto Wiedeń dokonało dzieła, z którem rzadko które równać się może. Na 1 października r. b. oddano na użytek ludności 50.000 nowoczesnych, wzorowo czystych, małych mieszkań z czynszem fantastycznie niskim. Największa troska gminy i mieszkańców — głód mieszkaniowy, został usunięty. Mieszkanie złożone z sypialni i kuchni, prawo używalności piwnicy oraz centralnych maszynowych urządzeń do mycia i potrzeb kuchennych, kosztuje miesięcznie na nasze pieniądze 12 złotych. Ruch budowlany, podjęty przez gminę m. Wiednia, finansowany był w ten sposób, że cały podatek mieszkaniowy, opłacany przez mieszkańców, obracany był wyłącznie na zaspokojenie głodu mieszkaniowego.

Gmina m. Wiednia nie tylko wybudowała 50.000 mieszkań drobnych, ale skupuje na tenże użytek tysiące innych. Dalszy ciąg tego programu rozbudowy odbywa się dziś, pod zmienionym nieco punktem widzenia. Dotychczasowe mieszkania po większej części nie czyniły zadość większym wymogom, szczególnie ludności stanu średniego. Obecnie więc przystępuje się do budowy mieszkań, przeznaczonych dla lekarzy, adwokatów, wyższych urzędników, dla ludzi wolnych zawodów i t. d. Tym sposobem, po rozwiązaniu w ciągu lat 6 sprawy mieszkań dla klasy robotniczej, zostanie rozwiązana również sprawa ta dla ludności stanu średniego. Zdaje się, iż gmina m. Wiednia nie ma współzawodników dzisiaj jeszcze nigdzie. Oczywiście problemat głodu mieszkaniowego można w rozmaity sposób rozwiązać skutecznie. Ważnem jest, by został on rozwiązany. Mimo wielkich trudności znalazł on jednak w Wiedniu swoje rozwiązanie ku zadowoleniu mas. I dlatego należy tylko pozazdrościć inicjatywie i dbałości o dobro mieszkańców Wiedniowi, mimo głosów krytycznych, zwłaszcza ze strony właścicieli nieruchomości, obniżenia wartości ich posesji i trudnego stąd kredytu. Stan gospodarczy może stąd poniósł pewne szkody, ale każdy mieszkaniec Wiednia otrzymać może własne mieszkanie.

A u nas? Za zawrotne wprost sumy, wpłacane przez mieszkańców stolicy, jako podatek mieszkaniowy, co przez tyle lat otrzymaliśmy? Mieszkania, przypominające okres jaskiniowców, pod arkadami mostu Poniatowskiego.

Dr. A. F.



W osiedlu „Sandleiten" w Wiedniu mieszkańcy korzystają nietylko z wygód, jakie im może dostarczyć nowoczesne budownictwo. Pomyślano tu również o wybudowaniu teatru, pływalni, sal dla sportów oraz zarezerwowano obszerne miejsce dla zabaw dziecianii.

Rozrywki umysłowe

ZADANIE.
Dr. L. N. de Jong
Holandja
Świat Szachowy, 1929



Mat w pięciu posunięciach.

BILETY WIZYTOWE

Ułożył M. Budko ze Lwowa

FRYDERYK K. BATORI

STEP PIEROWICZ NEZUBEŃKO

Z powyższych liter ułożyć zawód tych osób. Właściciel biletu drugiego pracuje w przedsiębiorstwie asekuracyjnem.

Ułożył pułk. F. Jenner.

Dr. MIR. SZOGOT

DYON. WUBICZ

Ułożył Wicherek Władysław z Bielska

LEON W. SUCKI

K. PANICZ

PIOTR RESTA

ADAM KRECIWSKI

IKAR CHETT

Z powyższych liter ułożyć zawód tych osób.

NAGRODY.

Za rozwiązanie biletów wizytowych z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania 5 nagród w postaci książek beletrystycznych. Termin nadsyłania rozwiązań upływa dn. 3 grudnia b. r.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 41.

Bilety Wizytowe:

Dozorca
Gajowy
Garderobiana
Gazeciarz
Senator
Czeladnik

Bilety Kwiatów:

Jaskier
Dzwonek
Rozmaryn
Bratek
Pelargonja
Nasturcja
Storczyk

NAGRODY.

Za rozwiązanie zadań z N-ru 41 otrzymują (w wyniku losowania): pp. Zdzisław Fischbach, Ostrów Wlkp., Kościelna 5, płk. inż. Stanisław Filipowski z Warszawy, Władysław Wicherek, Bielsko H. ul. Starobielska 3, Paweł Szandruk z Warszawy, Władysław Ścisłowski z Warszawy.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Por. Cezary Pobóg-Pągowski. Zadania umieścimy. Puławski czy Pułaski?

Wielu Czytelnikom. Zadania, nadające się do druku, będą umieszczane stopniowo.

P. *Stefan Kam.* Krzyżówkę lub logogryf zamieścimy, o ile będzie się nadawał do druku. Rebus doskonały w rysunku będzie zamieszczony, o ile treść jego jest zadawalniająca. Bardzo dowcipny pomysł rebusa, o ile Pan nie może wykonać go rysunkowo, możemy zużytkować pod pańskiem nazwiskiem.

J. J. RENAUD

CZARNA SZPILKA

(Copyright by „7 DNI).

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW.

Banda okrutnych opryszków, pod wodzą niejakiego Héblis, napada i morduje najrozmaitszych wynalazców, zdobywając w ten sposób ich plany. O swym napadzie uprzedzają ofiarę przy pomocy szpilki, wyobrażającej głowę murzynki, otoczoną czterema ramionami. Jest to znak bogini śmierci — Kali. Pewien młody człowiek, nazwiskiem Barnèze, wstąpił na służbę do policji śledczej, by zdemaskować bandę, której ofiarą padł jego ojciec. Héblis porwał Lucynę Mouriade, wdowę po wynalazcy, by zdobyć plany oraz aby móc dostać w swe ręce Barnèza.

— Pomimo naszych wysiłków, ażeby uzyskać, możliwie najwierniejszą jego podobiznę, otrzymaliśmy zaledwie nikły i niekompletny obraz kinematograficzny... Z rozmów, prowadzonych ze służbą hotelu, w którym pani mieszka, przekonaliśmy się, że człowiek, z którym pani odbywa tak częste spacery po Luxemburgu jest Barnèze... A więc!... naznaczy mu pani małe rendez-vous... no, naprzykład jutro, wieczór, o godzinie dziewiątej w kawiarni Doury, przy ulicy Raynouard... w tej małej, cichej kawiarni, z której jest taki piękny widok na Sekwanę... powie mu pani, że go zaprasza na herbatę z ciastkami, tego kochanego Barnèza!... Niech pani uważa!... Jeżeli Barnèze przyjdzie na tę schadzkę, w godzinę później będzie pani wolną... Natychmiast po odzyskaniu wolności, może pani pójść na policję i złożyć zeznanie przeciwko mnie i moim przyjaciołom... Nie krępuję panią wcale... Jednego tylko Barnèza mogę się obawiać!... Jednakże wtedy nie będzie już on dla mnie straszny... Czy pani się zgadza?...

— Odmawiam!...

— Proszę się zastanowić!... Sytuacja pani staje się coraz groźniejsza!...

— Już się zastanowiłam... Jak może pan przypuszczać, żebym mogła wydać w wasze ręce człowieka, który tak dzielnie stanął w mej obronie?...

— Ha!... Tem gorzej dla pani!...

Ręka jednego z drabów, stojących za nią wysunęła się i przyłożyła lufę pistoletu do jej skroni... Lucyna uczuła zimny otwór lufy... Była pewną, że padnie zaraz rozkaz: „Ognia!"... Ujrzała palec oparty na cynglu...

W pewnym momencie uczyniła gwałtowny wysiłek, by uwolnić się z więzów... Napróżno!...

— A więc!... Czy pani się zgadza?...

— Nie — odpowiedziała... Palec lekko nacisnął cyngiel...

— Zgadzam się! — krzyknęła...

— Brawo! To mi się podoba!... Jestem ogromnie uradowany, że pani nareszcie stała się rozsądną!... Mam wrażenie, że wkrótce rozstaniemy się w przyjaźni... Proszę!... oto telefon!... Jeszcze jedna mała uwaga... Gdyby pani zamiast wyznaczania randki zaczęła wzywać pomocy, natychmiast moi ludzie panią zastrzelą... Życie zależy tylko od pani...

— Powiedziałam przecież, że się zgadzam, — odrzekła Lucyna porywczo — jeżeli będę chciała was zdradzić, to mam wrażenie, że nie przyniesie to żadnej korzyści ani mnie, ani panu Barnèze... Ale co mam począć, o ile Barnèze będzie w prefekturze nieobecny?...

— Każe go pani zawiadomić... to całkiem jasne...

Nie rozwiązując Lucyny, przyłożono jej słuchawkę do ucha. Pistolet ciągle opierał się o jej czoło.

Zaczęła rozmawiać głosem spokojnym i cichym... Héblis słuchał przez drugą słuchawkę...

— Hallo!... Prefektura policji?... Proszę o biuro pana Barnèze... Niema go?... Proszę wobec tego poprosić do aparatu jego sekretarza, pana Martineau... Hallo!... Pan Martineau?... Dzieńdobry panu... Chciałam pana prosić o grzeczność, zawiadomienia pana Barnèza, że oczekuję go jutro, o dziewiątej wieczór, w kawiarni Doury... Chce pan dokładny adres?... Ulica Raynouard... Dobranoc!...

Héblis powiesił słuchawkę...

— Jeden z wrogów jest zakochany, a drugi martwy — wybuchnął szyderczym śmiechem...

W KAWIARENCE.

W starym dwupiętrowym domku, pamiętającym jeszcze czasy drugiego cesarstwa, mieściła się mała kawiarnia Doury. Klijentela jej składała się z drobnych rentjerów i emerytów, którzy każdego ranka i popołudnia schodzili się na partyjkę szachów. Obsługę kawiarni stanowili: właściciel, noszący dumnie medal z 1870 roku, oraz stary kelner o wielkich, sumiastych wąsach.

W godzinach przedwieczornych kawiarnia była zupełnie pusta. Barnèze i Lucyna, którzy starali się unikać ludzi, wybrali właśnie te ciche godziny, by wspólnie przepędzać na miłej pogawędce, przy szklance herbaty, parę godzin. Siadywali zawsze w salce, położonej w głębi, skąd rozciągał się piękny widok na ogrody, ciągnące się aż do samej Sekwany.

...Dochodziła godzina dziewiąta wieczór. Uciekający dzień, kładł właśnie swe ostatnie blaski na szczyt wieży Meudon, a Sekwana wyglądała niczem wstęga roztopionego ołowiu. Do kawiarni Doury wszedł codzienny jej gość, który po wypiciu swego poobiedniego aperitifu, zapomniał laski. Wszedłszy spostrzegł ze zdziwieniem, że za bufetem szwenda się jakiś przysadkowaty osobnik.

— Cóż to się stało?... Właściciela niema?...

— Tak proszę pana!... Poszedł z posługaczem na dworzec kolejowy, na spotkanie przyjeżdżającego kuzyna... Podczas jego nieobecności, ja go zastępuję... będzie zapewne nieobecny godzinę, lub dwie...

W rzeczywistości, właściciel i posługacz znajdowali się w tym momencie w piwnicy, związani i zakneblowani. Napadnięto na nich tak niespodzianie, że nie zdążyli nawet wydać jednego okrzyku.

Wraz z nimi ukryli się w piwnicy: tajemniczy Héblis, oraz czterej jego ludzie. Wystarczyło im wspiąć się tylko po pięciu stopniach schodów i otworzyć klapę, zamykającą piwnicę, by znaleźć się w kawiarni. Sidła rozstawione były bardzo sprytnie i Barnèze powinienbył wpaść w nie z wszelką pewnością.

Na czatach ustawił Héblis domniemanego zastępcę Doury, który obserwował pilnie ulicę, przez okno wystawowe.

W pewnej chwili spostrzegł on jakiegoś młodzieńca, w nasuniętym na oczy kapeluszu, który zbliżał się od strony Passy. Młodzieniec, od czasu do czasu, oglądał się za siebie, jakgdyby podejrzewał, że ktoś za nim śledzi.

Czatujący podbiegł szybko do drzwi piwnicy, tupnął trzy razy nogą, poczem wrócił na swoje miejsce, za bufetem.

W chwilę potem, zauważony przezeń młodzieniec wszedł do kawiarni.

Był to Barnèze.

— Czy niema tu pewnej damy, która ma na mnie oczekiwać?...

— Owszem, proszę pana!... Znajduje się w drugiej sali...

Barnèze zrobił kilka kroków w stronę drzwi, prowadzących do drugiej sali, która była pusta i w której miał być za chwilę ujęty przez Héblisa i jego bandę. Zatrzymał się jednak, jakby się rozmyślił, poczem podszedł do bufetu.

— Proszę mi przynieść szklankę herbaty z cytryną i z...

Błyskawicznie, podczas kiedy jego przeciwnik słuchał rozporządzenia, Barnèze, uderzył go pięścią w podbródek. Fałszywy posługacz trafiony, według wszelkich prawideł sztuki bokserskiej knock-aut'em, osunął się nieprzytomny na ziemię.

Błyskawicznie również wpadła z ulicy gromada agentów. Po chwili Héblis oraz czterej jego ludzie zostali wyciągnięci z piwnicy, rozbrojeni oraz zakuci w ręczne kajdanki. Wszelki opór okazał się bezskuteczny.

(D. c. na str. 22-ej).

CZARNA SZPILKA

(Dalszy ciąg ze str. 20)

Biedny Doury i jego posługacz byli już nawpół zaduszeni. Przeniesiono ich też co prędzej do nocnej apteki przy ulicy Mozarta, gdzie felczer zaopiekował się ich zdrowiem.

— Odprowadzić tych czterech nędzników! — rozkazał Barnèze. Herszta ich przesłucham sam bezzwłocznie!...

Momentalnie kawiarnia opustoszała. W oknach wystawowych zapuszczono zasłony.

Dwóch agentów stanęło na straży przy drzwiach od ulicy. Czekali, kiedy Barnèze skończy przesłuchanie.

Tłum gapiów, który zebrał się przed kawiarnią powoli się rozproszył. W kwadrans po aresztowaniu bandy Héblis, ulica Raynouard przyjęła swój dawny cichy i spokojny wygląd.

W małej salce, która tylekroć razy była świadkiem rozkosznych chwil, spędzonych przez Barnèza i Lucy, znalazło się dwóch zawziętych wrogów... Héblis siedział na krześle, ze zwieszoną głową nadaremnie próbując zerwać kajdanki. Przed nim stał Barnèze blady, dyszący zemstą, z drwiącym uśmiechem na ustach...

— Nareszcie wpadłeś w moje ręce!... Nic cię już nie uratuje!... Ty sądziłeś, że należałem do policji... Grubo się mylisz... Ja tylko ofiarowałem moje usługi prefekturze, by ciebie schwytać... Przypatrz się dobrze mojej twarzy... Nasyć się jej widokiem... Nie krępuj się... I tak na nic ci się to nie przyda... Pamiętasz jak wezwałeś do siebie mego starego ojca, który wynalazł jakieś nadzwyczajne udoskonalenie, przy korbach lokomotyw elektrycznych?... Pod pretekstem sfinansowania tego wynalazku ściągnąłeś mego ojca do siebie... A potem zaproponowałeś mu kupno wynalazku, za śmiesznie małą sumę, którąby nie starczyła na kęs chleba... Odmówił... Na drugi dzień, wchodząc na śniadanie do jadalnego pokoju, spostrzegł na pole swej marynarki tajemniczą czarną szpilkę, przedstawiającą głowę murzynki, otoczoną czterema ramionami... Tego samego dnia... popołudniu... kiedy będąc na spacerze, przechodził wpoprzek ulicy, prawie pustej, jakieś rozpędzone auto wpadło na niego, przewróciło i przejechało na śmierć... To tyś go zabił!... tak jak pana Mouriade... jak Karola Hagg... jak Daniela Maramy... i jak wielu, wielu innych!.. Jednakże ja przyszedłem się zemścić tylko za mego ojca!... Nareszcie wyrównamy swoje rachunki!...

Héblis, rozwalony na krześle, na którem siedział, odpowiedział tonem zupełnie spokojnym, wymawiając głoskę r z akcentem wybitnie włoskim:

— Niema dwuch zdań. Wszystko jest w porządku!... Będziemy musieli, niestety, wyrównać swoje drobne rachuneczki... Ale powiedz mi wprzód, jakim sposobem odkryłeś to, że my ciebie tutaj oczekujemy?...

— Ponieważ ciebie to tak strasznie interesuje, umrzesz i niczego się nie dowiesz!... Umrzesz!... Nie wątpij w to ani na chwilę!... Dałeś się wyprowadzić w pole, jak ostatni dureń... Ale nareszcie ciebie pochwyciłem!... Nie myśl, że oddam ciebie w ręce policji!... Rozprawa sądowa jest dla ciebie zbędnym luksusem!... Czy poznajesz tę czarną szpilkę?... To jest ta sama, którą znalazł mój ojciec na swej marynarce, na parę godzin przed śmiercią!... Patrz!... Wpinam ci ją w twój rękaw... Ty wiesz co to oznacza?... Sam jej przeznaczyłeś tak fatalną rolę... Przypatrz się temu co trzymam w ręce... Tym nożem zabiję cię... Zagłębię go powoli, z całą świadomością, w twoją pierś... Następnie wezwę agentów policji, którzy stoją przed drzwiami na ulicy i oświadczę im, że byłeś źle skuty, że rzuciłeś się na mnie, a ja w wypadku koniecznej obrony, byłem zmuszony cię zabić... Zabić cię!... Czy możesz sobie wyobrazić, co to będzie za roskosz!?...

(D. c. n.).

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

24 N. Jana od Krzyża.
25 P. Katarzyny.
26 W. Piotra.
27 Ś. Wirgiljusza.
28 C. Manswerta.
29 P. Saturnina.
30 S. Andrzeja.

TEATRY

Wielki: dn. 21 b. m. „Carmen"; dn. 22 b. m. „Wesele Figara"; dn. 23 b. m. „Lohengrin"; dn. 24 b. m. o godz. 3 pp. „Pan Twardowski"; o godz. 8 wiecz. „Pajace" i „Jezioro Łabędzie"; dn. 25 b. m. nieczynny.

Narodowy: Codziennie „Kres Wędrówki"; dn. 24 b. m. o godz. 4 pp. „Konfederaci Barscy".

Letni: dn. 21 b. m. „Wywczasy Donżuana"; od dn. 22 b. m. codziennie „Panienka z Dancingu"; dn. 24 b. m. o godz. 4 pp. Wywczasu Donżuana".

Nowy: dn. 21 b. m. przedstawienie zawieszone; od dnia 22 b. m. codziennie „Anna Christie".

Polski: codziennie „Pan Topaz".

Mały: codziennie „Olimpja".

Ateneum: codziennie „Bronx-Express".

Eliseum: codziennie „Mirla Efros".

Operetka Reprezentacyjna: codziennie „Jedna jedyna noc".

Morskie Oko: Rewja p. t. „Cała Warszawa".

Qui-pro-quo: Rewja p. t. „Coś wisi w powietrzu".

KINA

Apollo i Filharmonja: „Szlakiem hańby".

Colosseum: „Noce bezsenne, noce szalone".

Palace: „Gdy kobieta się zapomni".

Spendid: „Śpiewający błazen".

Wodewil: „Dziewczę z Singapoore".

Stylowy: „Miasto cudów".

Światowid: „Statek komedjantów".

Quo Vadis: „Wywoływacz".

Casino: „Studentka z Quartier Latin".

Prenumerujcie „7 DNI"

Odciąć, dokładnie wypełnić i przysłać do redakcji.

Konkurs na „Najpiękniejsze dziecko polskie"

Głosuję na dziecko Nr. .....

Imię i nazwisko głosującego: .....

Adres: .....

Udział w głosowaniu biorą rodzice oraz wszyscy bez wyjątku czytelnicy „7 DNI"

Głosować należy na dzieci, których fotografje, wybrane i dopuszczone przez sąd konkursowy, były zamieszczone w Nr. Nr.: 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40 i 41 „7 DNI".

Każdy kupon liczy się jako 1 głos. Każdy głosujący może nadsyłać dowolną ilość kuponów.

Niebywałe nagrody: I — 3000 zł., II — 2000 zł., III — 1000 zł. i t. d.

WYSTAWA PHILIPSA

„Radjo i Światło"

Warszawa — Mazowiecka Nr. 9.

7 Program. Tygodniowy.

Czwartek, dnia 21 listopada. Godz. 19.30. Koncert Jana Kiepury — transmisja z Frankfurtu nad Menem. Zwykłe zaproszenia nieważne.

Piątek, dnia 22 listopada. Godz. 17.30. Odczyt p. t. „Edison i jego wynalazki", wygłosi p. J. Ligęza-Stamirowski.

Sobota, dnia 23 listopada. Godz. 17.30. Odczyt p. t. „Co to jest radjo", wygłosi p. I. Bursztyn.

Godz. 19.30. Odczyt p. t. „Najtańsza Reklama", wygłosi p. H. Kolberg.

Niedziela, dnia 24 listopada. Dzień zarezerwowany dla Polskiej Korporacji Akademickiej „Filomatja". Zwykłe zaproszenia nieważne.

Poniedziałek, dnia 25 listopada. Godz. 20.30. Wykład na temat: „Ogólne zasady elektrotechniki i radjotechniki", wykł. p. B. Szapiro-Sarnecki.

Godz. 21.30. Wykład na temat: „Organizacja i nowoczesne metody sprzedaży", wykł. p. S. W. Bukowski. (Dla wieczorowych kursów dla sprzedawców).

Wtorek, dnia 26 listopada.

Godz. 17.30. Odczyt p. t. „Światło a życie", wygłosi p. J. Ligęza-Stamirowski.

Godz. 19.30. Odczyt p. t. „Ujarzmione pioruny", wygłosi p. S. W. Bukowski.

Wykłady dla wieczorowych kursów dla sprzedawców.

Godz. 20.30. 1) „Ogólne zasady elektrotechniki i radjotechniki", wygł. p. B. Starnecki.

Godz. 21.30. 2) „Organizacja i nowoczesne metody sprzedaży", wykł. p. S. W. Bukowski.

Środa, dnia 27 listopada.

Godz. 17.30. Odczyt p. t. „Budowa odbiorników zasilanych z sieci elektrycznej", wygł. p. Z. Lorentz.

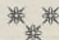
Godz. 19.30. Odczyt p. t. „Najtańsza reklama", wygł. p. J. Ligęza-Stamirowski.

Wykłady dla wieczorowych kursów dla sprzedawców.

Godz. 20.30. 1) „Zasady racjonalnego oświetlenia i jego elementy", wykł. p. J. Ligęza-Stamirowski. 2) „Sprzedaż artykułów oświetleniowych", wykł. p. J. Ligęza-Stamirowski.

Wystawa „Radjo i Światło" czynna jest codziennie od godz. 17 do 22, oprócz poniedziałków.

Wejście bezpłatne za kartami wstępu, które otrzymać można u kierownika wystawy przy ul. Mazowieckiej 9, od godz. 17 do 22.



NA ODWROCIE

KUPON DO GŁOSOWANIA

Z. DROMLEWICZOWA

Encyklopedja filmowa.

D.

DZIECKO.

Dziecko w kinie jest niemal zawsze owocem hańby. Niezmiernie rzadko się zdarza aby przybyło na świat boży, ot tak sobie poprostu i zwyczajnie.

Zawsze związana jest z tym faktem cicha, a jednak męcząca tragedja.

Jeszcze niema dziecka na świecie, a już widzimy brutala kochanka, jak pogwizdując odchodzi na zawsze z mieszkania kochanki. Jest to nieomylny znak, że nieszczęsna spodziewa się dziecięcia.

Odtąd całe dni spędza na szyciu małych kaftaników i myśląc o bliskiej przyszłości wzdycha i szepcze z resztką miłości:

— Ach, żeby było podobne do ojca.

Pozatem są dzieci przeznaczone na to aby je wykradać a następnie przy pomocy chudego detektywa w sportowej czapce odnajdywać. I istnieją także dzieci, będące wielką pomocą przy godzeniu przez reżysera powaśnionych, zdawałoby się na zawsze, rodziców. Takie dzieci wygłaszają chętnie mądre aforyzmy.

Największy jednak procent przeznaczony jest na dzieci podrzutki.



Fot. Paramount.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, 1/2 strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.

Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.

Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, Sp. Akc. w Warszawie, Czerniakowska 225.